ŁOWIEC POLSKI



Przed sezonem fot. A. Wiśniewski

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 5 (948) Wrzesień-Październik 1947 Cena zł 35

PODZIĘKOWANIE

Komitet Odbudowy Siedziby Polskiego Związku Łowieckiego składa podziękowanie Członkom Związku, którzy złożyli ofiarę na odbudowę w Warszawie Siedziby Polskiego Związku Łowieckiego, mającej się stać centralnym ogniskiem organizacyjnym Myśliwych Polski, kuźnią pracy społeczno - łowieckiej o lepsze jutro i świetlicą współżycia towarzyskiego kolegów - myśliwych.

Pierwszą listę ofiar podaliśmy w N-rze 2-gim „Łowca Polskiego". Dziś ogłaszamy wykaz ofiar, zgłoszonych do końca sierpnia r. b.

Od Wojewódzkich Rad Łowieckich wpłynęło: Z Olsztyna — 2.650.— zł., z Łodzi — 4.800.— zł., z Krakowa — 15.500.— zł., z Torunia — 19.150.— zł., z Radomia — 20.850.— zł.

Od Powiatowych Rad Łowieckich: w Białej — 5.000.— zł., w Iłży — 2.235.— zł., w Opatowie— 12.945.— zł., w Pułtusku — 4.000.— zł., w Jędrzejowie — 5.500.— zł., w Częstochowie — 6.000.— zł., w Bielsku — 4.030.— zł., w Busku — 3.039 zł., w Łomży — 1.700.— zł., w Garwolinie — 100.— zł., w Chrzanowie —511.— złotych.

Od Kół Łowieckich: w Kielcach — 6.000.— zł., w Płocku — 3.800.— zł., we Wrocławiu — 5.000.— zł., w Tomaszowie — 2.300.— zł., w Skarżysku — 900.— zł., w Dęblinie — 1.300.— zł., w Garwolinie — 1.400.— zł., w Zwoleniu — 800.— zł., w Sochaczewie — 1.800.— zł., w Białogardzie — 1.850.— zł., w Przasnyszu — 1.400.— zł., w Miłosnej — 4.000.— zł., w Żyrardowie — 5.000.— zł. od Koła „Ryś" — 2.050.— zł., od Koła „Pomoc" — 3.100.— zł., od Koła „Mazur" — 3.500.— zł., od Koła „Bekas" — 1.500.— zł., od Koła „Rafun" — 6.900.— zł., od Koła „Tur - Jeleń" — 2.100.— zł., od Koła „Lis" — 1.500.— zł., ow Koła P.B.R. — 1.800.— zł.

Od członków PZŁ.: E. Bartolda—1.000.— zł., W. Kierwińskiego — 385.— zł., S. Wegenko — 100.— zł., W. Homańskiego — 100.— zł., S. Tarkowskiego — 590.— zł., J. Bodolewiczowej — 400.— zł., J. Wojdackiego— 1.000.— zł., W. Kosmulskiego — 5.360.— zł., Szwejkowskiego — 30.— zł., B. Janiaka — 1.000.— zł., A. Midowicza — 2.000.— zł., od B. G. Sp. — 4.050. — zł., od Walnego Zgromadzenia Udziałowców Spółdzielni — 4.000.— zł., od Huty Garwolińskiej — 800.— zł.

Ogółem do końca sierpnia wpłynęła na Fundusz Odbudowy Siedziby Polskiego Związku Łowieckiego kwota 274.375 zł. Jest to tylko oczywiście część wydatków całkowitych obliczonych na sumę około 3.200.000 zł.

Odbudowa domu Nr. 35 przy Nowym Świecie, w którym mieścił się Zarząd Polskiego Związku Łowieckiego oraz Redakcja „Łowca Polskiego" przed wojną i do którego przeniesiona będzie nowa siedziba Związku, zbliża się ku końcowi.

Czeka nas jeszcze wielki wydatek, związany z wewnętrznym urządzeniem, z umeblowaniem i należytym wyposażeniem lokalu, liczącego 8 pokojów obok kuchni, szatni i t. d.

To też, składając na tym miejscu serdeczne podziękowanie dotychczasowym ofiarodawcom, wzywamy Kolegów. którzy jeszcze swego obowiązku, uchwalonego na Walnym Zgromadzeniu członków, odbytego w czerwcu r. b. w Opolu, mianowicie wpłaty na rzecz odbudowy i wyposażenia Siedziby Związku po 100 zł. od członka — nie wypełnili, do poparcia naszych zabiegów w kierunku możliwie rychłego otwarcia podwojów „Domu Łowieckiego" dla szerokich rzesz myślistwa polskiego.

KOMITET ODBUDOWY SIEDZIBY P. Z. Ł.

DO KOLEGÓW-MYŚLIWYCH

Wchodzimy w okres polowań zbiorowych. Właśnie te polowania dostarczają badaczowi stanu łowiectwa najwięcej materjału, charakteryzującego zarówno ilostan zwierzyny w danym okręgu, zmiany w jej rozmieszczeniu geograficznym, jak też poziom organizacyjny gospodarki łowieckiej, udział w niej zrzeszonych kadr braci myśliwskiej.

Aby materiał ten zgromadzić i uzyskać możność odtworzenia na jego podstawie obrazu dzisiejszej „rzeczywistości" łowieckiej, zwracamy się do kolegów-myśliwych z prośbą o systematyczne dostarczanie Redakcji „Łowca Polskiego" krótkich sprawozdań, ściśle rzeczowych, o odbytych w sezonie nadchodzącym (październik — luty) polowaniach zbiorowych na wszelką zwierzynę z podaniem następujących głównych szczegułów:

a) Nazwę Koła łowieckiego, b) miejsce polowania, c) data polowania, d) rodzaj polowania, e) obszar opolowany, f) ilość uczestników, g) ubita zwierzyna, h) ilość oddanych strzałów.

Za wszelkie dane uzupełniające, jak również za zdjęcia ciekawsze — będziemy serdecznie wdzięczni.

REDAKCJA

ŁOWIEC POLSKI

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr 5 (948) 1947 Wrzesień-Październik



»Na kurach« rys. K. Tarnowski

WŁ. FAFIŃSKI

Gdy św. Hubert pierwszy raz poszczęścił

(Praca odznaczona trzecią nagrodą na Konkursie Literackim).

Ojciec mój, stary leśniczy, zarządzał dość dużym rewirem, wchodzącym w skład większego kompleksu leśnego nadleśnictwa K. na Pomorzu. Stare drzewostany mięszane, drągowiny, młodniki, łąki i dobrze zagospodarowane okoliczne pola, dawały zwierzynie leśnej idealne warunki bytu. Zwierzostan był więc liczny i w dobrym stanie. W dużej mierze reprezentowały go jelenie i dziki. Roczny odstrzał jeleni wahał się od 2 do 4, — dzików od 6 do 10 sztuk.

Wyrastałem pod troskliwym okiem Ojca, który od najmłodszych lat starał się wszczepić w moją młodą duszę przywiązanie do przyrody oraz wszelkie zasady etyki łowieckiej. W przyszłości bowiem miałem być dalszym ogniwem rodzinnego, łańcucha myśliwych, któremu początek dał Dziadek.

Całą też duszą pokochałem te lasy i łąki z ich rozmaitą fauną i florą, wśród których wyrastałem. Obcując stale z przyrodą, poznałem jej tajniki i nigdy nie gasnące piękno. Życie i zawód łowiecki miały dla mnie stały powab, do nich też coraz bardziej się zapalałem. Powoli doczekałem się i tego czasu, że wolno było mi zapolować. Jako oznakę mej „dojrzałości łowieckiej", dostałem w prezencie od Ojca broń myśliwską. Pierwsze moje samodzielne polowania ograniczały się do pomagania Ojcu w odstrzale sarn,

do ciągu kaczek i słonek oraz w polu na zające na pomyka. Miało to dla mnie niewątpliwie swój urok, myśl jednak o zwycięskim spotkaniu się „oko w oko" z najmądrzejszym i najostrożniejszym mieszkańcem naszych lasów — dzikiem, nie dawała mi spokoju. Postanowiłem sobie, że dopiero wtedy będę uważał się za prawdziwego myśliwego, kiedy od mej kuli padnie pierwszy czarny zwierz. Ów „czarny zwierz" jednak nie chciał podchodzić pod moją lufę. Ileż to wieczorów spędziłem w lesie na zasadzce, patrolowaniu, nawet i na podchodzeniu dzików — szczęście nie dopisywało. Nie zrażało mię to jednak, wierzyłem, że św. Hubert raz poszczęści.

Nadeszła późna jesień, najodpowiedniejsza pora na tropienie i odstrzał dzików. Była to pierwsza jesień, w której mogłem zająć się rzemiosłem św. Huberta.

Pewnego dnia spadł pierwszy większy śnieg i okrył ziemię białym dywanem. Powoli nadchodził cichy, dość mroźny wieczór. Okazja na dziki — wymarzona. Przy ponowie zwierz w ruchu. Korzystając z tego, wybrałem się jeszcze przed zmrokiem do lasu na patrol. Świeży śnieg, ścięty już lekkim przymrozkiem, sypał się bezszelestnie pod nogami. Na niebie wlokły się leniwie szare chmury, z poza których co pewien czas wyglądał blady jeszcze księżyc, pokazując swe rogi skierowane ku niebu. Las ubrany pierwszy raz w białą szatę zimową, stał spokojnie pełen majestatycznej powagi, zdawał się być zdziwiony tak niespodziewanym nadejściem zimy. Najmniejszy nawet szum nie dochodził z jego głębi. Czasem tylko z wysokiego drzewa spadała bezszelestnie śnieżna czapa, rozsypując się o gałęzie drzew i biały jej pył zsypywał się wolno na ziemię. Tu i tam znaczył się na śniegu samotny ślad zająca, ciągnącego na pola, nad drogami na równej powierzchni śniegu odznaczały się powłóczyste ślady sarn, błądzących po lesie, w drągowinach krzyżowały się drobne ślady tancerek leśnych — wiewiórek. W kilku tych miejscach przecinał linię jednostajny sznur lisa, polującego przy ponowie na zdobycz. Od czasu do czasu zając przemknął przez linię, rzadziej spłoszone sarny mignęły wśród drzew swymi białymi fartuszkami. Zwierzyna była już w ruchu. Pierwszy nagle spadły śnieg zmienił jej zwykły codzienny tryb życia. Gruby zwierz jednak krył się jeszcze w gąszczach, czekając na późniejszą porę, by móc pociągnąć na nocny żer. Tropów jeleni i dzików nie było widać dotychczas na śniegu.

Zmrok wolno ustępował miejsca głębokiemu wieczorowi. Zupełna cisza wstała nad lasami. Światło księżyca stało się jaśniejsze, od czasu do czasu przedzierało się pomiędzy chmurami, padało na ziemię i sunęło po spokojnych koronach drzew, po ciemnych zagajnikach, tajemniczych gąszczach i liniach leśnych, rozpraszając wszystkie mroki leśnej ciszy.

Dochodziłem do młodych kultur sosnowych rozłożonych pomiędzy zagajnikiem z jednej — i starodrzewiem z drugiej strony. W głębi majaczyła ciemna ściana drągowiny. Kultury pokryte śniegiem, wyglądały jak gołe pole wśród lasów. Wzrok mógł swobodnie ogarnąć niedużą ich powierzchnię. Zatrzymałem się — lecz i tu nic nie mąciło ogólnej ciszy leśnej. Ruszyłem dalej z zamiarem udania się nad pola, gdzie spodziewałem się coś więcej zobaczyć.

Wtem z boku usłyszałem jakiś szelest — przestraszony szarak wyjechał z zagajnicy i sadził przez kultury — stanął, zastrzygł słuchami i jeszcze szybciej pomknął tuż przede mną w drągowinę. Zapewne „rudy" „nacisnął" biedaka — przemknęło mi przez głowę. Stanąłem, by zobaczyć też jak za chwilę wypadnie z zagajnicy, węsząc za świeżym śladem kopyry, gdy nagle — zamiast ujrzeć lisa, usłyszałem w zagajniku hałas i ciężkie sapanie — chwila ciszy — i chrapliwy odgłos zakłócił leśną ciszę wieczoru. Drgnąłem jak zelektryzowany... czegoś podobnego w lesie jeszcze nie słyszałem. Czyżby jelenie?... chyba nie — w listopadzie rykowisko??? — Może dziki???... Przypuszczenie moje okazało się słuszne, to słychać wyraźnie głos dzika, łudząco przypominający charczenie zabijanej świni domowej. A więc dziki w pobliżu!!!

Szybko wracam do linii dzielącej zagajnik od kultur — staję, by lepiej zorientować się w sytuacji. W zagajnicy coraz głośniej. Zaczynam tracić pewność — chyba świni nikt w lesie nie zabija??? To są na pewno dziki!!! Ostrożnie posuwam się wzdłuż linii naprzód i naraz czuję wyraźnie charakterystyczną czarnemu zwierzowi woń, — znam ją dobrze, nie mało nawąchałem się jej przy wyprawianiu upolowanych przez Ojca dzików. Nie ma żadnej wątpliwości, że to rota dzików harcuje w gąszczach! Zapewne samotnik odpędza wchodzącego mu w drogę wycinka, lub stara samura daje szkołę swym krzykliwym warchlakom.

Staję za małym drzewkiem z boku linii — postanawiam tu czekać. Spodziewam się, że całe to bractwo wkrótce wyjedzie na kultury. Mija kilka chwil, które wydają mi się godzinami. Zaczynam tracić spokój i równowagę duchową. Pierwszy raz w życiu jestem tak blisko dzików — lada chwila mogę przyjść do strzału — czuję jak serce łomocze mi aż gdzieś pod szyją, ręce nie mogą spokojnie utrzymać broni, podrywają ją w takt bicia tętna, dziwna fala ciepła oblewa całą twarz. Emocja, ta nieodzowna towarzyszka większości młodych myśliwych, opanowuje mię całego. Takiej emocji nie przeżywałem jeszcze czy to podchodząc sarny, czy też słysząc chrapanie nadciągającej słonki na ciągu. Wszystko to potęguje we mnie napięcie do najwyższego stopnia.

Nagle w zagajnicy cichnie — słychać tylko krótkie fukanie i ciężkie sapanie jakiejś cięższej sztuki... Dziki ruszyły... zbliżają się do linii... wlepiam wzrok w tą stronę — mała chwilka — i czarna, garbata, sylwetka dzika z wysuniętym nisko do przodu gwizdem wolno wysuwa się z ciemnej ściany zagajnika. Na tle białego śniegu wygląda jak posąg. Pozostałe dziki tkwią wewnątrz zagajnicy. Ten tymczasem wolnym truchtem rusza przez kultury, kopiąc się w śniegu. Nie ma chwili do stracenia — drżącymi rękoma



»Książę kniei« rys. K. Tarnowski

podnoszę broń do oka, biorą na cel przód ciemnej sylwetki — mniej więcej komora... przez ułamek sekundy prowadzę lufę za celem — pociągam za spust. Głośne, przeciągłe echo strzału rozlega się po lesie. — Dzik zapada w śnieg jak podcięty... w zagajnicy łoskot... lecz co to — ?? Dzik zrywa się i w pełnym galopie wali przez kultury... Posyłam w pośpiechu z tyłu drugą kulę — niepewna — dzik ginie w drągowinie — słychać jeszcze trzask łamanych gałęzi — i cisza.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Nie mogę ochłonąć z wrażenia napięte nerwy teraz dopiero rozstrajają się na dobre — drżę na całym ciele. Jednym skokiem jestem na miejscu strzału, ale oprócz skopanego śniegu, nic nie widać. Klękam — szukam chciwie choć jednej kropelki posoki — nic. Najwyraźniej przecież zwalił się w ogniu?? Nisko schylony, prawie na kolanach, brnę za tropem, który stale wskazuje ucieczkę. W drągowinie ledwie mogę coś zobaczyć. Gęste korony świerka nie przepuszczają światła. Żeby choć trochę księżyc zaświecił! Robi mi się ciepło — wypadam na linię — trochę widniej — znów klękam na śniegu nad tropem — o nieba!!! Najwyraźniej widzę kilka ciemnych plamek dookoła — biorę w rękę — miękkie — posoka!!

Gorączkowo wpadam w zagajnicę, lecz już po kilku metrach uznaję za niemożliwe przedzieranie się w gąszczach przy tym świetle i sypiącym się na głowę śniegu. Z żalem wracam do linii. Po chwili namysłu skierowuję się w stronę domu. Teraz dopiero różne sprzeczne myśli zaczynają krążyć po mojej niedoświadczonej jeszcze w myśliwstwie głowie. Chwilami jestem pewny, że dzik dostał dobrą kulę i daleko nie uidzie. Odległość przecież nie była większa od 25 metrów. Widziałem też dość dobrze, dobrze też mierzyłem — broń moją znam. Na większy jeszcze dystans strzelałem skutecznie z gładkiej lufy do sarn — dlaczegóż by teraz moja dubeltówka miała się gorzej spisać? Chwilami znów ogarnia mnie powątpiewanie — może tylko lekko raniłem i postrzałek pociągnie przez pobliskie łąki do sąsiedniego rewiru i tam się zaszyje? W poddenerwowaniu mogłem tylko zranić?

Tak rozmyślając, doszedłem do domu. Ojciec słyszał moje dwa strzały, to też oczekiwał mię z niecierpliwością. Z zainteresowaniem wysłuchał mego „sprawozdania". Gestykulując, starałem się odtworzyć całe zajście „od A do Z". Trochę przesadzałem, ale to trzeba złożyć na karb młodzieńczej zapalczywości.

Postanowione zostało nazajutrz rano wyruszyć z psem na poszukiwanie. Całą prawie noc spędziłem bezsennie. Nieustannie widziałem przed oczyma walącego się w ogniu dzika. Uświadamiałem sobie każdy szczegół — wyszedł — ciągnie... mierzę, strzał... podrywa się — ucieka... Pocieszałem się tym, że św. Hubert przecież sam naprowadził mię na dziki, dzięki ich hałaśliwemu zachowaniu się. Powoli zasnąłem.

O piątej zbudził mię Ojciec. Gwiazdy świeciły jeszcze, gdy ruszaliśmy do lasu. W ciągu nocy posłała się znów ponowa.

— Jeżeli w pobliżu nie znajdziemy postrzałka, będzie trudna sprawa, pies nie poprowadzi po zakrytym tropie — oświadczył Ojciec.

Zrzedła mi więc mina. Nadziei jednak nie traciłem. Zresztą od ciągłego rozważania myśleć już nie mogłem. Postanowiłem tylko jedno — szukać choć do wieczora!

Dniało gdy byliśmy na miejscu. W miejscu strzału widać było tylko nierówną powierzchnię śniegu. Pies, jak przypuszczał Ojciec, nie orientował się wogóle. Ruszyliśmy więc od razu w zagajnicę, puszczając go wolno. Nie zwracając uwagi na gąszcze i sypiący mi się całymi porcjami na głowę, za kołnierz śnieg, przedzierałem się pomiędzy większymi lukami naprzód. Szukaliśmy „na ślepo". Kilka sarn, wypłoszonych przez psa przebiegło w pobliżu. O dziku nic nie słychać. Cóż można tu w zagajniku zobaczyć? — Jeżeli pies nie znajdzie, to po wszystkim!

Zawzięcie jednak przedzieram się to w prawo, to w lewo — byle naprzód! Wtem raz i drugi zaszczekał „Bekas", znów uciął krótko. — jeszcze raz — ujada!? — co to??? Całym pędem rzucam się w tym kierunku. Śnieg zasypuje oczy, ostre igliwie kłuje po twarzy. Po mozolnym przedzieraniu się widzę gołe od śniegu miejsce. Na czarnym igliwiu kałuża posoki krwawiący ślad ciągnie się z tego miejsca. Posuwam się ostrożnie za nim — i oto — osaczony przez psa, zadem do mnie leży w śniegu czarny potwór. „Bekas" spogląda na mnie radośnie kręcąc ogonem lecz zarazem uważnie obserwuje dzika. Zachodzę wolno z boku by zobaczyć go od przodu — rusza talerzami, próbuje podnieść się na zadzie. co mu się nie udaje — nagle jednak z szumem wali prosto na mnie... Włosy stają mi momentalnie dęba — przez chwilę widzę małe bystre świece — mierzę prosto między nie — pociągam — nic?? — broń zabezpieczona — gwizd o pół metra od mej nogi. — Skrępowany w gąszczach i głębokim śniegu, z trudem uskakuję w bok, błyskawicznie odbezpieczam — i prawie z końcem luf między świecami walę kulę wraz z ogniem i gazami w kosmaty łeb. Dzik kołysząc się, lekko zawraca — i zarywa gwizdem w śnieg.

Nadchodzi przerażony Ojciec, wymawiając mi z dala moją nieostrożność. I ja teraz dopiero uświadamiam sobie, w jakiej znajdowałem się sytuacji.

—Pięknie cię twój pierwszy dzik przywitał dużo nie brakowało, a miałbyś „pamiątkę" — mówi mi Ojciec, widząc leżącego tuż przy mnie dzika. Rzeczywiście, o pamiątkę było nie trudno, na udzie ciało dziwnie drga — może z radości, że pozostało na starym miejscu, włosy na głowie powoli „kładą się".

Oglądamy zabitego odyńca. Średniej wielkości, trzy, może czteroletni. Ojciec nadmienia, że mógłby być „niezłym chirurgiem" ze swymi szablami. Odwracam kilka razy martwe, ciężkie cielsko, szukam kul. Są — pierwsza siedzi nisko, pod komorą, strzaskała kość przedniej nogi, tak że ta luźno wisi tylko. Rozumiem teraz dlaczego dzik żył przez całą noc tu w zagajnicy. Nie mógł bowiem na tej nodze iść, z głównych jednak arterii życiowych, żadna nie została poważniej uszkodzona. Druga kula siedzi w lewej szynce. Ostatnia, śmiertelna tworzy z świecami równoramienny trójkąt, którego jest wierzchołkiem. Dzik widocznie uciekał tak długo, dopóki nie przetrącił sobie zupełnie, nadstrzelonej kości. Wyjście pierwszej kuli znajduje się znacznie wyżej niż wejście — pod przednią lewą łopatką.

Od nawału wrażeń nie mogę się uspokoić, fala radości ogarnia mię całego. Nieustannie jeszcze oglądam mojego odyńca ze wszystkich stron. jeżdżę ręką po włochatej ciepłej skórze. Nie wierzę własnym oczom, że to mój pierwszy dzik, że padł od mojej kuli!

Ojciec łamie świerkową gałązkę. ociera o posokę w ranie i zatyka mi za wstążkę kapelusza. Widzę, że jest wzruszony, gdy mówi ściskając moją dłoń: — Doczekałeś się! Od teraz jesteś myśliwym!

Łzy szczęścia stanęły mi w oczach. — Moje długoletnie marzenia ziściły się!!!

Gdy w ten cichy poranek listopadowy rozległa się po lesie dźwięczna melodia myśliwskiej trąbki Ojca, czułem się dziwnie błogo i szczęśliwie. Coś w duszy drgało... coś ściskało gardło...

Echo wzmacniało i powielało akordy muzyki niosło po całym lesie, gdzieś hen — daleko, wysoko. Z głębi mej duszy wydobywały się na usta ciche słowa dziękczynnej modlitwy do św. Huberta, wznosiły się razem z melodią trąbki tam — gdzie je myśl kierowała.

Dziś mimo że siedzę jeszcze w ławie szkolnej, wśród trofeów Ojca wiszą już trzy deski z szablami moich odyńców. Pierwsze z nich są mi jednak najdroższe, z nimi bowiem łączą mię najpiękniejsze wspomnienia owego listopadowego poranku.

Wł. Fafiński.

ST. STELIŃSKI.

MARUNÓWKO

Braliśmy ostatni skręt z traktu do leśniczówki, gdy na kroków trzydzieści przed samochodem kraśny byk przesadził boczną linię w pięknych lansadach.

Obrazek był tak piękny i miał w sobie tyle wdzięku, że dopiero po chwili odezwały się głosy zachwytu.

Król kniei polskich witał nas na progu swego państwa.

Drgnęły serca myśliwskie, a cicha podzięka za cudne preludium do przyszłej rapsodii przywarła do stóp Patrona.

✱

Jechałem na rykowisko do mego serdecznego przyjaciela Włodzia B. — klasowego myśliwego, hodowcy i strzelca, tak kulowego jak i śrutowego.

Wiózł mnie do swego łowiska sam kochany gospodarz. Towarzyszyła nam przemiła jego małżonka pani Wanda.

Pierwszy raz byłem w tych stronach Polski— pierwszy raz na rykowisku w Poznańskim

Tereny mego przyjaciela obejmowały przestrzeń czterech tysięcy mórg magdeburskich, przeważnie młodników. Łowisko było dopiero w trakcie urządzania w zrozumieniu stawiania ambon, doprawiania i obsiewu poletek, podnoszenia stanu drobnej zwierzyny przez wpuszczanie zajęcy itp. zabiegów hodowlanych.

Stan jeleni miał być dobry, o czym się zresztą później sam przekonałem. Polowanie jednak na płową zwierzynę nie było wcale łatwym, ze względu na zupełny brak partii starodrzewia.

Zwarte młodniki zazdrośnie strzegły wszystkich tajników życia swych królewskich mieszkańców.

✱

Po roztasowaniu się w leśniczówce Marunówko i po zawarciu znajomości z miejscowym sympatycznym leśniczym, panem Władysławem Bogackim i jego małżonką, nie tracąc drogiego czasu wychodzimy na wieczorny podchód.

Przewodnikiem moim ma być przodownik robotników leśnych — Mikołaj. Włodzio idzie z leśniczym, jako że mają moc spraw łowiecko-hodowlanych do omówienia.

Udzieliwszy Mikołajowi odnośnych instrukcyj gdzie i jak ma mnie prowadzić — rozchodzimy się.

Uzbrojony jestem w Mauser, cal. 8×57 z luneta Zeissa 4x. Sztucer przystrzelony na kule „H-Mantel-Scharfrand". Na szyi wisi lornetka Zeissa 7×49, a w ręku wysuwany kij do oparcia broni przy strzale.

Idę pierwszy — Mikołaj postępuje w ślad za mną. Posuwamy się piaszczystą ścieżką, biegnącą przy drągowinie sosnowej. Po prawej stronie drogi młodnik dość zwarty.

Jest godzina czwarta. Październikowe słońce złoci czuby drzew, rzucając długie fioletowe cienie. W przyrodzie idealny spokój. Z daleka bieleją pnie brzóz: Lekko przyżółkłe ich liście przypominają staro - złote blaszki, obramowane zielonkawą emalią.

Obserwuję z zaciekawieniem teren nieznanego mi łowiska. Mikołaj wskazuje na tropy wyraźnie odbite na piaszczystej, zwilgłej od deszczu drodze.

Śladuję grubego byka. Tropy pięknie zaokrąglone zamykają dokładnie obwód elipsy. Nitka wyraźna i wysoka. Chmara przeszła z drągowiny do młodnika.

Czym dalej się posuwamy, tym tropów więcej. Krzyżują się w różne strony, żadnej jednak sztuki nie widać. Skręcamy w drągowinę, w której są przygotowane do podchodów wąskie ścieżki oczyszczone z suszu i igliwia.

Słońce zniża się coraz bardziej. Od strony wschodniej w drzewostanach panuje już zupełny mrok. Podchód nasz trwa do późnego wieczoru.

Choć tego popołudnia nie zobaczyłem nic z płowej zwierzyny, to jednak poznałem kawał łowiska. Jeszcze ze trzy spacery z Mikołajem, a zorientuję się w topografii całego terenu i chodzić zacznę sam. Nie lubię wspólnych podchodów.

I Włodziowi nie poszczęściło się lepiej. Również nic nie widział.

Po zjedzeniu kolacji o godzinie dziesiątej wychodzimy we czwórkę t.zn. Włodziowie leśniczy i ja, do granicy łowiska — pod duży las — na podsłuchy. Włodzio bierze ze sobą muszlę.

Cudna, cicha jesienna noc.

Niebo wygwieżdżone bez śladu jakiejkolwiek chmurki. Pełnia... Pucołowata gęba księżyca śle snopy zimnych, stalowych blasków... Długie fantastyczne cienie, upstrzone jasnymi plamami światła, tchną tajemnicą... Cisza... Słychać falowanie powietrza prutego ciężarem spadającego liścia...

A w tem...

Potężny bas grubego byka uderzył gromem w bezgłos nocy... ooooaachch... ooooaachch... ooyyychchchch...

Las drgnął... Lekki wietrzyk nagina czuby drzew... Sędziwy dąb rzuca garść złotych blach, jakgdyby w hołdzie puszczy dla króla kniei.

Włodzio zawabił. Byk odpowiada ciągnąc ku nam... Jest coraz bliżej... Już słychać trzask łamanego suszu... Zachodzi pod wiatr...

Gdzieś daleko zaryczał drugi...

Słuchamy jak urzeczeni... Przyjaciel daje znak i wycofujemy się za nim. Nie należy płoszyć szlachetnego zwierza. Idziemy bez słowa, przejęci potęgą i tajemnicą misteriów przyrody.

✱

Terkot budzika o godzinie czwartej rano zrywa mnie z łóżka. Słyszę przez ścianę, że i

Włodzio wstaje. Za chwilę spotykamy się w przyległym pokoju, wchodzi leśniczy, łykamy z termosa coś gorącego i już jesteśmy w lesie.

Ciemno zupełnie... Stopniowo wzrok przyzwyczaja się do mroku.

Dzisiaj Mikołaj prowadzi do innej partii łowiska. Idziemy na zasiadkę.

W ciszy i milczeniu odbywamy drogę. Po półgodzinie jesteśmy na miejscu.

Siadam w koszu na rozkładanej lasce, sztucer kładę na kolanach i zamieram w bezruchu. Mikołaj przykucnął za mną. Jeszcze ciemno zupełnie.

Niebo staje się coraz bardziej szare — niedługo zacznie świtać.

Słyszę coraz głębszy oddech Mikołaja. Bojąc się by nie chrapnął, poomacku walę go w łeb.

Powoli otwory strzelnic zaczynają wyłaniać się z mroku. Lekki tuman mgły unosi się nad smugą.

Coraz widniej. Już mogę rozróżnić partie lasu, ciągnącą się po drugiej stronie halizny. Puszysty dywan wrzosu, uperlony kroplami rosy ciągnie się nieprzerwanie przez całą smugę.

Cisza najidealniejsza z idealnych...

Czuję dotyk w prawe ramię. Spoglądam przez szkła we wskazanym kierunku i widzę dwie sztuki żerujących sarn. Kozioł i koza. Dobry szóstak: Z satysfakcją przyglądam się pięknym stworzeniom, pełnym wykwintu i elegancji.

Jest już zupełnie widno. Jeleni ani śladu. Znudzony siedzeniem, postanawiam ruszyć na podchód.

Obeszliśmy z Mikołajem ogromną część łowiska: poza bardzo licznymi tropami jeleni, nic więcej nie widziałem. Na dziesiątą wracam do leśniczówki.

Włodzio był szczęśliwszy ode mnie. Spotkał kilka łań i dobrego szóstaka.

Po śniadaniu kropimy się spać. O pierwszej budzą nas na obiad. Parę kieliszków wódioli poprawia humory.

Podczas spaceru obserwujemy całą moc tropów jelenich i dziczych, ale żadnej żywej istoty poza robotnikami przy ambonach nie widzimy. Rozumiem powód trudności spotkania się z jeleniami. Jak wspomniałem, całe łowisko składa się przeważnie z gęstych, niepodkrzesanych drągowin i młodników sosnowych. Dużego lasu nie ma zupełnie, a wolniejsze przestrzenie są znowu za rzadkie, by w nich co grubszego miało swą ostoję.

Właściwego rykowiska w łowisku przyjaciela niema. Jelenie ryczą za granicą, u sąsiada na dużym lesie. Wab — dla topograficznych właściwości terenu, równie jest bez efektu. Spotkanie może więc być jedynie przypadkowe, podczas przeciągania zwierzyny albo przez linię, albo przez rzadzizny czy halizny. A na przypadek taki można i bardzo długo nieraz czekać.

✷

Wieczorny podchód, jak i cały następny, którym była niedziela, oraz ranek poniedziałkowy nic ciekawego znowu nie przyniosły. Zorientowałem się jedynie w całym prawie łowisku.

O godzinie dziesiątej Włodzio z panią Wandą wyjeżdżają do Poznania. Zostaję na cały tydzień sam. Kochani gospodarze obiecują przyjazd w sobotę — na dziesięć dni, po czym mamy wrócać.

Odgrażam się Włodziowi, że podczas jego nieobecności strzelę takiego byka (mowa o jeleniu), jakiego dotychczas świat nie widział... Oświadczam mu przy tym, że po zabiciu jelenia zadzwonię do Poznania, ale nie powiem wprost jaki byk padł od mojej kuli tylko określę go w litrach wódioli — mianowicie: jeżeli będzie dziesiątek, powiem: Włoduchno przywoź dwa litry— dwunastak cztery, czternastak sześć, szesnastak osiem i t. d.

Śmiejemy się wszyscy — serdeczne pożegnanie — zostaję sam.

✷

Tegoż dnia o czwartej po południu wychodzę do lasu w pojedynkę, t. zn. bez towarzystwa Mikołaja.

Dzień cudowny, pełen ciszy i słońca. Ciepło jak w lipcu. Roje muszek tańczą w powietrzu.

Przecinam linię i dukty, zmierzające w stronę granicy łowiska — pod duży las sąsiada. Tropów wszędzie pełno. Zaczyna mnie ogarniać irytacja. Ósmy raz z rzędu wychodzę na podchód i do tej pory nie widziałem ani kawałka jelenia, a jest tego bydła do licha. Jak tak dalej pójdzie, to rezultat polowania może być wcale nie ciekawy. Św: Hubercie, Patronie mój — nie opuszczaj wiernego swego sługi...

Powoli zbliżam się do granicy. Ścianę mojej drągowiny otula już mrok. Duży las sąsiada zalany złotymi snopami nisko stojącego słońca.

Posuwam się granicą kilkadziesiąt kroków— wybieram dogodne do obserwacji miejsce pod ścianą młodnika i siadam na rozkładanej lasce.

Jestem jakby w teatrze na zaciemnionej widowni. Przede mną wspaniale oświetlona boskim reflektorem słońca — scena. Dekoracja ustawiona mistrzowską ręką Stwórcy. Pnie ogromnych sosen toną w purpurze blasków płynnego złota. Dołem przepych światłocieni. Z różnorodnych gardziołków leśnych muzykantów płynie ciche preludium do mającej nastąpić uwertury. Dzięcioł kapelmistrz wybija takt. W napięciu oczekuję pokazania się aktorów. I nagle... przewspaniały widok uderza me oczy...

Z dalszych partyj sceny, lekkim tanecznym truchtem wybiega „ona“ — łania — licówka. W ciemno czerwonej sukience, z podniesioną wysoko głową i czujnie nastawionymi łyżkami wymija z gracją każdą gałązkę. Świece rzucają bystre spojrzenia — jakby sprawdzić chciały zachwyt publiczności... Za nią — z miną obojętną i o sztywniejszych ruchach, depce jej pociecha...

Czarodziejski korowód zamyka „on“ — danser nad dansery — król kniei... W jaśniejszy od przodownicy kolor sukni przybrany, z utrefioną w długie frendzle, lśniącą gęstą grzywą i koroną na głowie mocnych wieńców szóstaka, wybija takt melodii badylami ze stali... Minę ma znu-

dzoną... Pewny swych wdzięków nie żąda poklasku... Nużą go spektakle... Woli ciszę ostoi...

Zbliżając się do przesmyku, cała trójka zwalnia... Chylą się ich głowy jak w pięknym ukłonie i nie czekając na brawa, nikną za kulisami drągowiny...

Siedzę w bezruchu jak urzeczony...

Światła na scenie powoli gasną... Zapada noc... Czas wracać...

✵

Następnego ranka jestem znowu w lesie. Pogoda zmieniła się zupełnie. Dmie północny wiatr, niebo zawalone ołowiem chmur. Szum drzew przekreśla zmysł słuchu.

Pióropusze martwych liści padają na ziemię. Czuję pierwsze krople deszczu. Jesień daje znać o sobie::: Wracam wcześniej niż zwykle. Strumienie wody zalewają świat. Obawiam się trzydniówki. Zdeprymowany kładę się spać.

Pod wieczór ulewa zmieniła się w kapuśniak, a barometr nadal stoi na burzy. Z kijem w ręku wychodzę na krótki spacer, z którego spędza mnie jesienna burza. Przed pójściem spać wyglądam przed dom. — Pada.

O czwartej rano wstaję i wytykam głowę przez lufcik. Słychać kapanie wody z dachu. Rzucam w mrok nocy snop elektrycznego światła. Deszczu szczęśliwie nie ma. Ubieram się szybko i wychodzę.

Ćma — choć w pysk daj. Idę na starą ambonę. Jeszcze po ciemku jestem na miejscu. Po oślizgłej drabinie pnę się w górę i zasiadam na desce imitującej ławkę. Pod nogami miękko na grubej warstwie mchu. Powietrze zaczyna szarzeć i znowu pryska drobny deszcz.

Zabezpieczam od wody szkła lunety, lornetkę wsuwam za płaszcz i zamieniam się w słuch. Dzień wstaje powoli i niechętnie. Ambona stoi na haliźnie przy drągowinie.

Robi się coraz widniej. Odróżniam już poszczególne krzaki. Stopniowo wyłania się młodnik po drugiej stronie halizny. Spod ambony wychodzi jakaś sztuka. Widzę przez szkła żerującego sarnika - widłaka. Lustruję dalsze partie wrzosów i w pewnym momencie spostrzegam złodziejską mordę lisa, wysuwającą się z młodnika. Mykita, pomimo obfitej rosy, której bardzo nie lubi, wchodzi w mokry wrzos. Stąpa ostrożnie z wyprężoną kitą, podnosząc stawki możliwie wysoko. Wybiera miejsca mniej zarośnięte, przesuwa się jak wąż między kępami traw — co chwila przystaje, węszy i nasłuchuje. Chytrość przechery jak na talerzu.

Przy samym końcu halizny czernieją jakieś dwa punkty. Podnoszę szkła. Dwa dziki przelatki idą sznurkiem lekkiego truchta. Za chwilę giną mi z oczu.

Z zadowoleniem opuszczam lornetkę. Dobry znak — zwierzyna się rusza.

Choć jeleni nie widać, nadzieja wstępuje w serce. I z nimi się spotkam. Jakby na potwierdzenie nawprost ambony wychodzi z drągowiny jakaś duża sztuka. Już szkła przy oczach. Widzę młodego byczka - śpiczaka. W bardzo ciemnej wiśniowej sukience, z niewielką grzywą — przyszły król kniei, dziś jeszcze dzieciak — podchodzi pod samą ambonę. Lubuję się jego widokiem.

Dochodzi godzina ósma. Czas wracać. Siedzę jeszcze czas jakiś by nie spłoszyć śpiczaka, który skrył się w drągowinie tuż koło ambony.

W drodze powrotnej widzę szereg krzyżujących się tropów płowej zwierzyny. Wszystkie świeże — z tej nocy. Stare przyklepał i zniszczył deszcz.

Idąc zaczynam zastanawiać się nad tym, czyby nie spróbować podchodu czy zasiadki w innych godzinach, jak to robię dotychczas. Od przyjazdu bywam w lesie od czwartej do ósmej rano i od czwatrej po południu do ósmej wieczór. Resztę czasu spędzam w domu. Decyduję dzisiaj wybrać się do lasu zaraz po obiedzie, niezależnie od pogody. Może Św. Hubert poszczęści...

✵

O godzinie drugiej wychodzę z leśniczówki. Jest mglisto, siąpi drobny deszcz i pociąga ostry południowo-wschodni wiatr.

Postanawiam zasiąść na linji, na której pierwszej nocy byliśmy na podsłuchach. Nie cały kilometr, oddzielający leśnictwo od miejsca gdzie mam dzisiaj próbować szczęścia, przechodzę szybko. Obieram stanowisko pod drągowiną nawprost duktu, oddzielającego młodnik od zagaju. Od granicy i dużego lasu sąsiada oddalony jestem o 150 kroków. Strzał możliwy w trzy strony. Nawprost wzdłuż duktu — na lewo wzdłuż linji, którą przyszedłem i na prawo w kierunku granicy.

Kijem strącam wodę z choiny, która ma mi służyć za oparcie, rozkładam laskę, wysuwam kij służący do oparcia broni i zasiadam.

Wiatr pociąga od leśniczówki na duży las. Na sztucerze leżącym na kolanach opieram łokcie rąk, chroniąc nimi od zalania zamek i szkła lunety. Lornetka wisi pod płaszczem. Deszcz pada bezustannie.

Kapelusz nasiąknięty wilgocią, przestaje przyjmować nadmiar wody, która nie mając innego ujścia, leje mi się ciurkiem na kolana. Płaszcz namoknięty ciąży coraz bardziej. Pod nogami chlupie błoto...

Siedzę już z godzinę pod podwójnym prysznicem z nieba i drzew, a nadzieja zobaczenia czegokolwiek maleje z każdą chwilą. Mając dużo czasu zaczynam zastanawiać się co za siła przedziwna tkwi w „żyłce myśliwskiej"? Ojciec mój nieboszczyk zawsze tak mawiał, że „tej żyłki żaden chirurg nie wytnie". Gdzie tkwi w organiźmie, nikt tego nie wie. Człowiek się z nią rodzi i z nią umiera. „Żyłka" — jak sama nazwa mówi, to coś maleńkiego. Jakże się więc to dzieje, że w takim maleństwie tkwi moc tak potężna, której ulegają najtęższe jednostki? Robi z nami co zechce, jak na przykład ze mną...

Ja — człowiek poważny — zamiast siedzieć spokojnie w suchym otoczeniu, nie powodowany żadnym obowiązkiem, z własnej i nie przymu-

szonej woli wybrałem się do lasu w pogodę w jaką i psa z domu trudnoby wypędzić. Jak ostatni głupiec (powie niemyśliwy), przekładając pluchę nad zacisze mieszkania, siadłem sobie na dworze i, tkwiąc w jednym miejscu, moknę od godziny na rzęsistym deszczu.

Czy długo tego jeszcze? — zapytuje rozsądek. A gdzie jest powiedziane, że to właśnie dzisiaj... właśnie tutaj... i właśnie o tej godzinie spotkam się z bykiem wartym zachodu i kuli?...

Na zdrowy rozsądek to zero widoków, ale pasja myśliwska, ta „żyłka" tajemna, trzyma dalej na miejscu, a nadzieja zwodnicza szepce coś do ucha... a może... Krzyże już bolą więc prostuję grzbiet. Przychodzi mi do głowy, by spróbować się złożyć dla sprawdzenia lunety czy nie zapocona. Sięgam po laskę, opieram na niej broń i składam się wzdłuż linji... Nagle drgnąłem i oczom nie wierzę...

W okularze lunety widzę płową zwierzynę. Trzy łanie i byk na dużą metę, do dwustu metrów, stoją przy brzegu linji koło ściany młodnika. Dwie łanie na przodzie żerują na skarpie, byk z trzecią nieco z tyłu zajęci są flirtem. „On" pewien swych wdzięków szepce jej coś w ucho, „Ona" — Ewa zalotna — słuchać niby nie chce i stara się uciec...

Cudny obrazek!

Już jestem nagrodzony za wszystkie me trudy i obecną kąpiel.

Złożony badam wieniec — po lornetkę sięgać nie ma czasu... Byk w ruchu, trudno zliczyć odnogi... Widzę oręż niewysoki o dość grubych tykach zakończonych koronami... Dobry...

Cichy trzask przyspiesznika... byk podaje komorę... krzyżyk lunety nieco wyżej — daleko... palec dotyka spustu...

Suchy trzask sztucerowego strzału targnął powietrzem...

Łanie pryskają... Byk pada na kolana — podrywa się i ciężkim krótkim galopem idzie kawałek wzdłuż linii, poczym skręca w drągowinę...

Odetchnąłem głęboko... Wiem, że byk mój... Śpieszyć się nie potrzeba. Repetuję sztucer, wstaję, zdejmuje i chowam do kieszeni lunetę, zbieram manatki i licząc kroki idę na miejsce strzału. Rad jestem dobrej oceny odległości — 238 kroków równe 179 metrom. Ładna meta...

Na miejscu strzału farby nie ma. Posuwam się za tropem. Głębokie wyrwy racic wyraźnie znaczą ślad... Na brzegu drągowiny, w oddaleniu 65 kroków od miejsca strzału, leży „On" — król kniei.

Leży jak zwykle na stronie uderzenia kuli.

Z nabożeństwem i powagą podchodzę do byka. Oglądam wieniec. Czternastak koronny, ale oręż dziwnie niski choć prawidłowy, koloru szaro-zielonkawego o krótkich odnogach. Niewątpliwie byk chory, podejrzewam niedomogi wątroby.

Nasyciwszy wzrok wspaniałym widokiem, pełen zadowolenia ruszam do leśniczówki po konia.

Leśniczego zastaję na podwórzu.

— No, panie Władysławie, odzywam się do niego — jest byk — proszę o konia.

Leśniczy uśmiechając się patrzy na mnie. Widzę, że mi nie wierzy.

— Jak to jest byk? — pyta.

— No, strzeliłem czternastaka i przychodzę po konia by go zabrać.

— Czternastaka? — pada słowo pełne nieufności.

— No tak — mówię przecież wyraźnie i po polsku.

— E — niech pan nie kpi...

— No, dobre sobie... Jak Boga kocham, strzeliłem czternastaka...

Leśniczy podchodzi do mnie, zdejmuje mi sztucer z ramienia, wyjmuje zamek i patrzy w lufę...

— Sprawdza pan czy strzelałem — rzucam śmiejąc się... No i co, strzelany?...

Władzio zaczyna tracić nieufność, ale jeszcze pyta:

— A gdzie pan strzelał?

— Na linii granicznej...

— Jakto — tak blisko? Ja od pół godziny jestem na podwórzu i strzału bym nie słyszał?...

— No — mógł pan i nie słyszeć, gdyż dość silny wiatr ciągnie od leśniczówki...

Nadchodzi żona leśniczego i dowiedziawszy się w czym rzecz, nie mając żadnych zastrzeżeń co do prawdy mych słów, rada szczęśliwemu zdarzeniu gratuluje mi triumfu i popędza męża by kazał zakładać.

Ale Władzio niedowiarek jeszcze sie ociąga.

— Chodźmy więc razem na miejsce gdzie byk leży, innej rady nie widzę by pana przekonać — mówię z humorem.

Za chwile we trójkę jesteśmy przy byku. Leśniczy ogląda wieniec i liczy odnogi.

— Jak Boga kocham — czternastak, a ja do ostatniej chwili nie wierzyłem... — No, ale pan Bląk będzie zaskoczony... Musimy zaraz dzisiaj telefonować. To jak powiemy — ile litrów wódki?...

— A no, według umowy — sześć — odpowiadam śmiejąc się serdecznie.

Włoduchna będzie szalał z ciekawości, jak się dowie o czternastaku. Nie będzie chciał wierzyć.

Pan leśniczy idzie po konia.

Czekając na powózkę, wycinam haki. Są ładne, duże, zdrowe — o ciemno-brązowych plamach.

Oglądam strzał. Kula uderzyła na wysoką komorę. Tylna jej część przejechała na wylot — przednia, jak każdy „H—Mantel" rozpryskując się w środku zadała śmierć. Nadjeżdża wóz Koniem wyciągamy byka na linię, ale o włożeniu go we dwóch na wózek i mowy nie ma. Okręcamy więc szyję łańcuchem, przywiązujemy ten ostatni do tylnej osi i podtrzymując wieniec — wracamy.

Przed leśniczówką robię kilka zdjęć.

Następuje ostatni akt — wycinanie wieńców i patroszenie. Sprawdza się moja prognoza co do choroby byka. Wątroba jest bardzo nie w porządku.

Pełen wrażeń i emocyj, przy tym doszczętnie zmoczony, po dokładnym wyczyszczeniu broni i wszystkich utensylii myśliwskich, wstawiwszy

wieńce do kotła dla wygotowaniu czerepu — kropię się spać.

Pan Bogacki ma dzwonić do Włodzia.

✵

Wstaję przed wieczorem. Deszcz nie pada, ale na podchód już za pózno.

Wchodzi pan leśniczy i zdaje mi relację z rozmowy z Włodziem. Podobno kochany mój przyjaciel początkowo nie mógł się połapać w przeliczeniu litrów wódoli na ilość odnóg wieńców. Póżniej nie chciał uwierzyć, że strzeliłem czternastaka, a w końcu oświadczył, że tak go męczy ciekawość, że postara się przyśpieszyć przyjazd.

Kochany Włoduchna — uściskam go, niech się tylko pokaże.

✵

Następnych kilka dni przechodzi bez żadnych szczególnych wrażeń, aczkolwiek nie opuszczam żadnego wieczoru ni ranka, a często i w południowych godzinach jestem w lesie.

W piątek jest telefon z Poznania, że przyjeżdżają z żoną nazajutrz. W sobotę przed czwartą po południu wychodzę na spotkanie. Niedaleko od leśniczówki słyszę warkot motoru i niebawem widzę auto.

Oboje kochani Włodziowie machają zdalek rękoma. Za chwilę witamy się serdecznie. Nieodstępny Czaruś, jamnik szorstkowłosy, przyjeżdża również. Ulubieniec to i faworyt pani Wandy. Do polowania jest do niczego — boi się strzału, ale za to jest zły i przeważnie bez potrzeby przeraźliwie szczeka. Wstydzę często Włodzia, żeby on, taki myśliwy, miał psa zupełnie surowego. Włoduchna gęsto się tłumaczy, że pies wykolejony, bo kiedyś zginął w lesie, że dwa dni go nie było, że ludzie go gonili chcąc złapać że strzelano do niego i tym podobne historie. Wszystko to wysłuchuję, ale zdania nie zmieniam. Naturalnie nie wypowiadam swej krytyki przy pani Wandzi, bojąc się gniewu przemiłej Gosposi za spostponowanie ulubieńca. Ale nie traćmy nadziei. Może Czaruś z czasem zmądrzeje. Qui vivra — verra? —

Włoduś jeszcze dobrze nie zatrzymał motoru, jak skoczył oglądać wieńce. Widziałem jak kochanemu przyjacielowi kamień spadł z serca, gdy stwierdził, że oręż choć prawidłowego czternastaka nie jest kapitalny.

Wiem i wierzę, że szczypty zazdrości nie było w tym odruchu. Grały tu rolę inne pobudki — rywalizacja łowiecka, która pomimo woli tkwi w każdym z nas.

Uściskaliśmy się serdecznie i poszli wyjmować specjały z auta.

Wódoli przyjechał zapas znamienity. Różnych delikatesów paczka też nie mała. Ale czas iść na podchód, więc się wybieramy.

Wieczorem ma być „bankiet" z racji czternastaka.

✵

Po powrocie z lasu, który dla nas obydwóch był dzisiaj niełaskaw, w świetnych humorach, ja z racji wieńców, Włodzio z perspektywy niedługiego ich zdobycia — dziesięć ranków i wieczorów ma do dyspozycji, zasiadamy do obficie zastawionego stołu. Wódiola gęsto krąży — sypią się toasty — humor coraz żywszy.

Ale za długo hulać nie możemy. Od świtu jutra czeka nas praca. Trzeba strzelić łań kilka, gdyż jest ich za dużo, dzik może się trafić, a i byka jednego mam prawo położyć.

Św. Hubercie, błagamy pokornie, nie oszczędzaj nas wcale — stale pracy przysparzaj — ku swej chwale niebiańskiej, a naszej radości...

✵

I przesuwają się dnie jak paciorki różańca cudne w swej treści i tak umiłowane przez duszę myśliwego.

Pewnego popołudnia zasiadłem na starej ambonie na haliźnie. Dzień był piękny — pogoda ustaliła się ponownie. Z satysfakcją poddawałem się cichej pieszczocie jesiennego słońca.

Często podnosiłem lornetkę do oczu, jednak ciszy przyrody nie mącił najmniejszy ruch na długiej płaszczyźnie wrzosów. Dobrze mi było.

Gdzieś trzasnęła gałązka. Budzę się z marzeń i podnoszę do oczu lornetkę.

Po drugiej stronie halizny, pod ciemniejącą już ścianą drągowiny, spostrzegam łanię, stojącą na kulawy sztych. Z nastawionymi łyżkami i podniesioną głową robi wrażenie posągu z brązu.

Powoli opuszczam trzymane szkła i lewą ręką ujmuję sztucer oparty o brzeg ambony. Możliwie nieznacznymi ruchami podnoszę broń do twarzy.

Stoi daleko. Obliczam odległość na dwieście metrów. Krzyż lunety przykrywa komorę. Jeszcze nieco wyżej... naciągam przyspiesznik... palec powoli naciska spust...

Trzask jak z czwórkowego bata targa powietrzem... Łania zatacza się i ginie w drągowinie.

Schodzę z ambony i idąc na miejsce strzału liczę kroki. 265 równa się 199 metrom. Rad jestem, że i dzisiaj dobrze oceniłem odległość.

Na tropie nie znajduję śladu farby. Jest już zupełnie szaro. W drągowinę nie ma celu wchodzić. Tu odkrywa się pole dla tropowca. Zobaczymy pracę Tessy, niemieckiej krótkowłosej wyżlicy, będącej własnością leśniczego, o której słyszałem cuda.

Strzału jestem pewny, więc żadne złe myśli nie mają do mnie przystępu. Szybko wracam do leśniczówki.

Włodzio z panem Bogackim są już w domu Słyszeli mój strzał, więc wypytują z zaciekawieniem. Opowiadam jak i co było, bierzemy sztucery. latarki elektryczne, Tessę i idziemy.

Jest już zupełnie ciemno. Po dojściu na miejsce strzału leśniczy zakłada Tessę na trop. Suka w galopie ginie w drągowinie.

Cisza...

Nagle uszu naszych dochodzi przepiękna muzyka oszczeku. Słuchamy chwilę i stwierdziwszy, że głos dochodzi z jednego miejsca, wchodzimy w gąszcz. Białe światło latarek ślizga się zimnymi promieniami po pniach drzew.

Oszczek nie ustaje. Nabieram dla Tessy coraz większego szacunku.

W pewnej chwili słyszymy głos leśniczego: „widzę ją, stoi... światło więcej na prawo... zaraz dostrzelę...“

Jestem speszony, że sztuka dotychczas nie padła... Czyżbym tak podle strzelił? Trzask strzału uderzył w ciszę nocy... Pies uciął...

Podchodzimy do łani. Ogromna stara sztuka. Badam miejsce uderzenia kuli: wlot za komorą. Pocisk, mijając ją poszedł przez miękkie wzdłuż całego ciała. Strzeliłem źle i to mnie paskudnie struło.

Wycinam haki. Są zupełnie brązowe i prawie dokładnie spiłowane. Piękne trofeum. Wracamy do leśniczówki po powózkę. Ale jak my tę krowę przewieziemy? Poprzedniej nocy koń leśniczego zaplątał się w łańcuch i tak sobie nogę pokaleczył. że nie ma mowy by mógł iść. Włodzio oświadcza, że nie ma innej rady jak tylko wóz przywiązać do samochodu i w ten sposób łanię przytransportować. Tak też zrobiliśmy.

Oryginalny był widok naszego pochodu, z zaprzęgniętym do wozu autem.

Wszystko odbyło się szczęśliwie i ubita sztuka niebawem znalazła się w domu.

Przy kolacji omawiamy najdrobniejsze szczegóły dzisiejszego zdarzenia; ot tak, jak to bywa wśród prawdziwych myśliwych.

Martwi mnie bardzo, że pech prześladuje mojego przyjaciela. Dotychczas nic nie spotkał godnego kuli. On, który zawsze przodował w rozkładzie, obecnie chodzi jak urzeczony. Nadrabia miną, ale mu nie swojo. Ja zaś odwrotnie — przeważnie pechowiec, mam już na rozkładzie dwie grube sztuki.

Niezbadane są wyroki Św. Huberta.

*

Następnego dnia nie widziałem nic. Wieczorem będąc na podchodzie usłyszałem daleki strzał Włodzia. No, myślę sobie, nareszcie coś urżnął.

Mocno zaciekawiony wracam do leśniczówki. Przyjaciela mego jeszcze nie ma.

Nie mogąc się doczekać wychodzę naprzeciw. Spotykamy się zaraz za bramą wjazdową.

— No, coś kropnął Włoduchno, pytam go zdaleka?

Włodzio macha ręką — spudłowałem łanię!...

— Co — jak — gdzie? Ty spudłowałeś? Nie zawracaj — mów prawdę...

— Słowo daję, spudłowałem.

— Jakże to było? Dlaczego?

— Strzeliłem na wąskim dukcie, no i—pudło.

— E — chyba niemożliwe... Trzeba wziąć Tessę i sprawdzić...

— Nie ma potrzeby. Tropiłem. Jeszcze było całkiem widno — poszła zdrowa...

Nic już nie mówię, ale i nic nie rozumiem.

Wchodzmy do mieszkania. Parę kieliszków wódioli poprawia humory.

Ale Włodóchnę prześladuje najwyraźniej pech. Niech to diabli. On — i pudło do stojącej łani. Całkiem nie może mi się to pomieścić w głowie...

*

Wieczorem siedzę na starej ambonie.

Mrok powoli otula świat. Sarnik widłaczek. mój stary znajomy, pasie się bliziutko na wrzosach. Cisza dokoła — nie długo będzie noc.

Nagle widłaczek nastawił łyżki — chwilę nasłuchuje i w pięknych lansadach wpada w drągowinę. Obserwuję baczniej. Coś go spłoszyło, ale co?...

W odległości stu metrów, z drągowiny pode mną wychodzi łania. Ciągnie wolno na poprzek halizny... Obserwuję ją pilnie. Jest już na środku smugu. Staje i spogląda w tył...

Przenoszę szkła za jej wzrokiem i spostrzegam byka, wynurzającego się z gąszczu.

Czuję przypływ krwi w pulsach — robi mi się wprost duszno...

Przez gęsty mrok wieczoru widzę ogromną sztukę z potężnym wieńcem... Ukoronowaną głowę jakby przygniecioną ciężarem oręża, trzyma nisko... Czarne tło wrzosów przeszkadza ocenie...

Wysilam wzrok, aż oczy zachodzą łzami... O ustaleniu liczby odnóg nie ma co i marzyć — za ciemno. Byk oddala się coraz bardziej. a widoczność maleje z kazdą chwilą...

Św. Hubercie — ratuj!

Co robić?... Czy strzelać byka, czy łanię?...

Decyzja musi nastąpić natychmiast. gdyż sztuki są już pod przeciwną ciemną ścianą dragowiny... Za moment się skryją.

W tej chwili stoją obydwie na połeć z głowami zwróconymi w moją stronę. Wieniec byka zupełnie ginie na tle czarnego już gąszczu.

Myśl jak błyskawica przebiega mózg... sztuka ogromna — wieniec wydaje się być bardzo mocny... a może to byk kapitalny?... Może jedyna okazja spotkania?... Pominąć ją?...

A jak to sztuka zupełnie słaba?... Słaba?... Widzę dokładnie, że bydlę ogromne i na łbie ma cały las...

Św. Hubercie nie opuszczaj mnie! Strzelam byka!...

Sztucer przy ramieniu — krzyżyk lunety szuka komory... Naciągam pospiesznik — palec naciska spust...

Strzał targa powietrzem...

Byk nie markuje... Obydwie sztuki odbijają od ściany drągowiny i łania pierwsza, byk za nią, w pełnym galopie przecinają na długi skos haliznę...

Szybko repetuję i na bardzo dużą metę. posyłam drugą kulę...

I teraz nie widzę efektu strzału...

Jelenie skręcają w prawo... zwalniają... i ciągnąc wchodzą w drągowinę, z której wyszły.

Pierwszej kuli jestem zupełnie pewny, ale...

Schodzę z ambony mocno zdenerwowany. Wątpliwość co do jakości byka i brak zaznaczenia przez niego strzałów, mogą wyprowadzić łatwo z równowagi...

I dzisiaj, psia krew, zapomniałem latarki. Idę na strzał. Naturalnie nic nie widać na ciemnych wrzosach. Zaznaczam gałęzią miejsce gdzie stał byk w chwili strzału i wracam na piaszczystą linię, bielejącą pod drągowiną przy ambonie. Może ona mi co powie?

Staram się odnaleźć na niej trop wejściowy. Zdaje się, że tędy weszły... Przy tropach są jakieś ciemne plamy. Nie zastanawiając się długo, biorę je za wilgotny piasek wyrzucony racicami...

W zdenerwowaniu nie przychodzi mi wcale do głowy, by zaświecić zapałkę... Trop wchodowy również zaznaczam gałęzią.

Zły i podekscytowany, jak mogę najszybciej idę do leśniczówki.

Zadyszany, nie długo tam jestem. Opowiadam jak i co i za chwilę z Tessę i latarkami jesteśmy w drodze powrotnej. Idąc wyjaśniam szczegółowo cały przebieg wydarzenia. Włodzio kręci głową i odzywa się w te słowa: „Ależ ty masz „świnię" — niech cię licho. Ja nic spotkać nie mogę, a on już drugiego byka kropi — nie licząc łani. Wpuść takiego do lasu, a wszystko ci wystrzela" — mówi z humorem drogi przyjaciel.

A mnie całą drogę męczy ta niepewność, czy w ocenie wieńca ślepe przypuszczenia są cośkolwiek warte, czy też...

Do licha... Jeśli miało być odwrotnie... wolę o tym wcale nie myśleć...

Prowadzę na przypuszczalny ślad wejściowy.

Mijamy ambonę — za chwilę wszystko się wyjaśni.

Widzę na białym tle piasku leżącą gałęź... To już tutaj...

Błysk latarki elektrycznej oświetla świeży trop i duże plamy farby...

— Byk musi zaraz leżeć — odzywa się leśniczy..

Tessa już w gąszczu... Wchodzimy i my posuwając się za farbą.

Pierwszy idzie leśniczy, za nim Włodzio — na końcu ja, z bardzo rzadką miną i głupim uczuciem...

Tessa milczy. Jak się okazuje padłej sztuki nie głosi.

Nagle słyszę głos leśniczego „A ot — leży".

Robi mi się gorąco... Przez krzaki już widzę badyle byka...

Włodzio z leśniczym przyspieszają kroku — ja się ociągam.

— Bardzo mocny dziesiątak — słyszę głos Włodzia... Byk przyszłości... Mógłby jeszcze pochodzić ze dwa lata... Ale nic ci się nie dziwię. Stachu, żeś go strzelił, bo i jabym zrobił to samo — jeszcze w takich warunkach...

Oddycham z ulgą i podchodzę bliżej...

Ogromna sztuka leży na stronie uderzenia kuli. Piękne wieńce dziesiątaka jak korona królewską zdobią kształtny łeb. Tyki mocne, koloru ciemno-brunatnego z długimi odnogami bielejącymi na końcach. Strzał na wysoką komorę. Drugiej kuli nie ma. Serdecznie z Włodziem się ściskamy. Kochany przyjaciel podaje mi gałązkę złomu umaczaną w farbie. Leśniczy trzebi byka.

Postanawiamy dzisiaj nie zabierać go z lasu. Pózno już — dosyć mamy spaceru, a jutro rano sprowadzi się go powózką sąsiada.

Wracamy do domu, omawiając jeszcze raz szczegóły dzisiejszych wypadków.

Kolacja przeplatana toastami na moją cześć mija w nastroju wesołym i serdecznym. Jedno nas tylko martwi, że biednego Włodzia pech nie opuszcza. I dzisiaj nic nie widział godnego uwagi.

— Nic to Włoduchno, mówię żartując. Ja wiem, że ty tylko na kawał nas bierzesz. Niby nic nie spotykasz, ale jeszcze trochę, a takiego byka nam zaiwanisz, że dęba staniemy...

Włodzio również pokpiwa, ale wiem, że po cichu biorą go diabli.

Pani Wanda — wzór kochającej żony i najlepszego przyjaciela, nie przyzwyczajona do tego, by jej Włoduś kochany był z weną na bokier, pieszczotą i serdecznym słowem stara się złagodzić drogiemu mężowi zawody łowieckie.

Włoduś stary pieszczoch, udaje nieszczęśliwca... Robi się znów wesoło... humory tryskają: Ale już późno. O czwartej wstać trzeba. Najwyższy czas do łóżka: Zmachany nieludzko, walę się spać...

✱

Następny ranek nic nam nie przyniósł.

Po obiedzie wychodzimy na nowe ambony, które od dni kilku już wykończone, zapraszają by na nich popróbować szczęścia.

Przechodząc przez podwórze, widzimy leśniczego, opatrującego chorego konia.

Włodzio wdaje się z nim w rozmowę, obserwując zabiegi weterynaryjne.

— Włoduchna — nie marudź. Czas najwyższy na ambonę — mówię do przyjaciela.

— Zaraz, zaraz, chwileczkę... i marudzi dalej.

— No, to baw się w doktora, a ja idę na byka... A urżnę takiego, że ci oko zbieleje, odzywam się wychodząc za bramę.

Ruszam linią między drągowiną i młodnikiem.

Uszedłem nie więcej jak ze dwieście kroków, gdy spostrzegam coś jasnego na zielonym tle młodnika. Bardzo zresztą daleko.

Przykładam szkła do oczu i widzę łanię wysuniętą do połowy z zielonej ściany świerków, a za nią między choiną czerwienią się dalsze sztuki. Łania stoi do boku i patrzy w moją stronę.

Podsuwam się do pojedyńczo stojącej młodej jarzębiny i oparty o nią obserwuję dalej.

Sztuka stoi bez ruchu. Oceniam odległość — najmniej 250 metrów. Meta kolosalna. Strzelać czy podchodzić? Nie dotrzyma...

Postanawiam strzelać...

Idąc na ambonę nie wziąłem rozsuwanej laski do oparcia broni. Teraz jestem w kłopocie. Z wolnej ręki na taką odległość strzał wykluczony...

Radzę sobie inaczej. Lewą ręką obejmuję pień drzewka i złożony przyciskam do niego sztucer z całej siły. Jarzębina jak polerowana. Lufa broni ślizga się niemożliwie — krzyżyk lunety jak zwariowany przeskakuje ciągle obrane miejsce strzału.

Wstrzymuję oddech i całą siłą cisnę sztucer do wątłego oparcia — nic nie pomaga. Czy prowadzę broń z dołu, czy obsuwam z góry, krzyżyk jak zaklęty wyczynia ciągłe skoki...

Odpoczywam chwilę i jeszcze raz próbuję...

Przyspiesznik naciągnięty — celownik lunety dochodzi komory. Jeszcze trochę wyżej i... posyłam kulę...

Łania przesadza linię i wpada w drągowinę...

Reszta sztuk ginie w młodniku...

Oddycham głęboko, repetuję sztucer i dążę na miejsce strzału, licząc kroki — 280 — 300 — 340 — 349. — Meta nie byle jaka — to 262 metry...

Na tropie moc jasnej farby z płuc...

Wchodzę w drągowinę. Śladowanie łatwe — farby bardzo dużo...

Sztuka idąc, ciągle zmienia kierunek. Zdumiony jestem, że tak lejąc posoką, dotychczas nie padła...

Wkońcu ją dochodzę... Z zainteresowaniem badam strzał. Kula mijając bark, uderzyła za krótko, rozbijając płuca.

Wycinam haki — są niezłe.

Znacząc nożem drzewa, idę wprost do linii.

Nagle przed sobą słyszę strzał. Za chwilę jestem na brzegu.

Widząc, że nadchodzę, odzywa się Włodzio: Jest?...

— Jest — odpowiadam. A ty do czego strzelałeś?...

— Do tego co i ty.

— No i jak?

— Pudło!!!...

— Dajże spokój Włoduchno, mówię wychodząc na linię. Zaiwaniasz braciszku, aż się kurzy...

Ale widząc fatalną minę przyjaciela, oglądającego tropy strzelanej sztuki, więcej nie żartuję.

— Jakże to było? — Strzelałeś stojącą czy w biegu?

— W skoku przez linię — odpowiada Włodzio. Ale dobrze ją miałem i ścierwa poszła.

— No — w skoku — to nie takie łatwe — pocieszam jak mogę...

— Et — macha ręką... Nie jedną w gorszych warunkach rulowałem w ogniu...

— Wiem o tym Włoduchno i wydziwić się nie mogę co z tobą... — A czy ty braciszku sztucer próbowałeś? — rzucam pytanie. Czy to czasem nie wina rozregulowanej lunety?

— Nie!!- — Broń w zupełnym porządku... Ot — nie idzie i tyle...

Jest mi podwójnie żal drogiego przyjaciela, gdyż sam do wielkiego zadowolenia mam nie mały powód.

— A ty jak strzelałeś? — słyszę pytanie Włodzia.

Opowiadam dokładnie i podaję odległość.

— Niech cię diabli wezmą! Jak mnie nie idzie tak tobie wali... Prawie na podwórzu strzela jelenie...

Ściskam druha serdecznie...

Rozchodzimy się na ambony.

Dalsze godziny wieczoru nic ciekawego nie przynoszą.

O zupełnym zmroku, autem ciągnącym wóz, sprowadzamy zabitą sztukę.

*

Ostatni dzień w Marunówku.

Ranek. Jeszcze zupełnie ciemno...

Siedzę na nowej ambonie, z drugiej strony tego zagaju, pod którym strzeliłem pierwszego byka.

Ambona stoi przy drągowinie na skrzyżowaniu linij.

Przede mną dukt oddzielający młodnik od drągowiny — ten sam, przed którym siedziałem w dniu zabicia czternastaka.

Na prawo linia między młodnikami i wrzosowiskiem, porosłym rzadką sosną t. zw. rzadzizną, dochodzącą do samej drągowiny.

Na lewo szeroka linia, przecinająca drągowinę. Strzał więc możliwy w cztery strony.

W przyrodzie absolutna cisza... Powietrze zaczyna szarzeć... Tumany mgły unoszą się nad młodnikiem...

Co chwila badam przez szkła młodnik, dukty i linję.

Widoczność jeszcze bardzo słaba. Wschód zaczyna powoli różowieć.

Opary obniżają się — będzie pogoda.

Wszystko mokre od rosy. Skroplona mgła z głuchym kłapaniem spada na ziemię...

Znowu przykładam lornetkę do oczu. W młodniku i na dukcie przede mną nic się nie dzieje.

Zwracam głowę na prawo ku rzadziźnie, aż w tył poza siebie. I tu nic nie widać. Opuszczam szkła i cofam się do poprzedniej pozycji.

Przebiegając wzrokiem te same partie, które przed chwilą lustrowałem na linii biegnącej na prawo od ambony, przy młodniku, w kłębach mgły spostrzekam dwa ciemne punkty. Wiem, że przed chwilą ich tam nie było. Skąd się więc wzięły... Podnoszę lornetkę. Dwa dziki żerują przy rzadziźnie. Dwa wycinki stoją zwrócone łbami do siebie i zbierają bulwy rozrzucone na dukcie. Przez mleko oparów, jak przez szybę matową, są słabo widoczne. Odległość trudno ocenić. Przypuszczalnie do 200 metrów.

Powoli sztucer podnoszę do twarzy... Krzyżyk lunety ślizga się po łopatce czarnego zwierza... Przyspiesznik naciągnięty... Palec leciutko opiera się o spust. Jeszcze sekunda i — kula z trzaskiem wyrywa się z gwintów...

Dziki nikną w młodniku...

Oddycham głęboko, szybko lecz bezgłośnie repetuję broń i z lufą skierowaną na dukt wprost ambony, oczekuję w napięciu...

Tędy jest ich węksel — tędy przejść muszą... Obydwa albo jeden...

Cisza...

Mleczny tuman wlecze się przy samej ziemi...

Nagle — fuknięcie w głębi młodnika... Za chwilę drugie — już bliżej duktu...

Oczyma wyobraźni widzę szczeciniastego jak stojąc w gąszczu, skupiony w sobie, stara się chwycić najlżejszy szmer, a groźną tabakierą ruszając jak czółkiem filtruje powietrze...

Lecz zmysł powonienia, zawsze niezawodny, dzisiaj milczy uparcie i nic mu nie powie...

Znowu fuknięcie — już przy samym dukcie...

Wietrzy jedna sztuka, więc druga chyba leży...

Złożony oczekuję... Chwila dużej emocji... — Wyjdą dwie czy jedna?

I nagle — w obłoku tumanu, jak w dymie siarkowym — zjawa szatana... „On" — jak duch nocy... Staje sam na dukcie...

Jest daleko ode mnie... Mgła myli odległość...

W okularze lunety, jak w ramie obrazu, raczej płynąc niż idąc w kłębach oparu, zbliża się ku mnie... Krzyżyk lunety ślizga się po barku...

I kiedy szablasty odkrywa komorę, posyłam mu kulę...

Skok w drągowinę i jakby się rozwiał... Tylko strzępów mgły kołysanie mówi, że coś tam było... że coś tam się działo...

Repetuję sztucer i słucham przez chwilę, lecz nic ciszy nie mąci...

Zdejmuję lunetę i schodzę z ambony.

Idąc na miejsce strzału obliczam odległość i stopniowo zaczyna ogarniać mnie zdumienie. Strzelając mierzyłem jak na 150 metrów, obecnie obliczyłem już 250 kroków a do miejsca strzału mam ich jeszcze sporo.

Mgła orientację kompletnie zmyliła. Pewien jestem pudła...

A no — cóż robić. Siła to wyższa... Widać taka była wola Patrona...

Równe 300 kroków. 300 kroków to 225 metrów, nic więc dziwnego że kula poszła dołem.

Dla spokoju sumienia idę tropem dzika, wyraźnie widocznym na wilgotnym mchu drągowiny. Poszedł wolno nietknięty...

Wracam szybko na dukt, by czym prędzej sprawdzić rezultat pierwszego strzału. Od ambony do miejsca, gdzie dziki żerowały, jest 272 kroki równe 204 metrom.

No — tutaj szczęśliwie zupełnie trafnie oceniłem odległość. Co prawda mgła wtedy wyżej stała, a tym samym w dolnych partjach lasu nie była tak gęsta.

Wchodzę w gąszcz młodnika. Dołem kożuch wrzosów. Szukam tropu i w pierwszej chwili nie mogę go znaleźć. Wracam na dukt i jeszcze raz wchodzę w gąszcz. Bardzo wolno i dokładnie badam wrzos przy samym brzegu młodnika — nic jednak dojrzeć nie mogę. Wstępuję nieco głębiej i nagle spostrzegam podłużny pas wyrwanych z korzeniami roślin. Oglądam go szczegółowo. Na brzegach wyrwy widzę farbę:.. Oddycham z ulgą i tropię dalej...

O kilka kroków — taka sama wyrwa. Rozumiem co to znaczy — dzik ma rozbity przód i posuwa się rwanymi rzutami... Nie powinien być daleko, ale może jeszcze żyć... Trzymając sztucer gotowy do strzału, posuwam się wolno bacznie badając gąszcz. W pewnej chwili czuję odór chlewni... Dzik jest gdzieś bardzo blisko. Przykucam i dołem zagaju badam dokładnie każde ciemniejsze miejsce młodnika...

O kilkanaście kroków przed sobą, za kępą świerków, widzę go leżącego na boku — na stronie strzału. Podchodzę bliżej. Strzelona sztuka jest niestety samurą. Wiek jej obliczam na lat trzy. Zachwycam się piękną sukienką, pokrytą na całej powierzchni jasno-srebrnym piórem.

Badam strzał. Kula uderzyła w dolną część barku, gruchocąc go i przeszła przez płuca. I tutaj mgła o mało nie spowodowała paskudnego pudła. O włosek niżej, a wracałbym bez dzika.

Wychodzę na linię i tropiąc, z przyzwyczajenia, kieruję się do domu. Włodzio z leśniczym już powrócili. Słysząc moje strzały sądzili, że pierwszym coś strzeliłem, a drugim dobijam.

— No, — coś dzisiaj urżnął, ty wściekły szczęściarzu — pyta mnie Włodzio. Może znowu byka?...

— Nie, kochanie ty moje, — odpowiadam skromnie — zupełnie co innego.

— Łanię?...

— Nie — przyjacielu drogi. Zabiłem dzika:. Jednego, a drugiego, niestety, chybiłem.

— A niech cię gęś kopnie! Puść takiego do lasu, to ci zrobi porządek... Dwa byki, dwie łanie, a teraz dwa dziki...

— Nie — Włoduchna — przerywam — niestety tylko jednego... Do drugiego pudło... Mgła zmyliła odległość.

— Patrzcie — i jeszcze narzeka, że mu mgła przeszkodziła.

Śmiejemy się wszyscy. Ściskamy się z Włodziem...

— Ścierwa to bydło! Hoduję, pilnuję, karmię, i co mam z tego — mówi Włodzio kochany niby z irytacją...

— Ano Włoduchno, masz wielką przyjemność, że twój przyjaciel ma wielką przyjemność.

I znowu śmiech ogólny — taki zdrowy, szczery i taki prawdziwy...

*

Niezapomniane chwile, niezatarte wspomnienia i niegasnąca wdzięczność dla Najdroższych Przyjaciół...

Ale wiedzcie Najdrożsi, że źle być takimi — bo w roku przyszłym na pewno przyjadę...

St. Steliński



Ptaki Śląska ongi i dziś

(z perspektywy muzeum w Cieplicach)

Ornitologa, czyniącego swe spostrzeżenia faunistyczne na Śląsku w ciągu kilku lat ostatnich, przy zestawianiu owych spostrzeżeń z tak cennymi dokumentami stanu ptactwa w tym rejonie, jakich dostarcza wspaniałe muzeum w Cieplicach pod Jelenią Górą, uderza przedewszystkim kontrast dzisiejszego ubóstwa fauny ptasiej Śląska z obfitością gatunków spotykanych tu przed mn. w. ośmdziesięciu laty.

Zbiory cieplickie można podzielić na faunę Śląska i faunę pozaeuropejską — bo brak tam gatunków oryginalnych z krajów Europy zachodniej i południowej.

Fauna Śląska obejmuje: Dolne Łużyce pokrywające się z częścią południowej Brandenburgii, kraje nad Nysą, Bobrem i jego dopływami (rz. Gwizd), a także góry Izerskie, Karkonosze z okolicą Jeleniej Góry i częścią Czechosłowacji oraz kraje leżące dalej na wschód z Wrocławiem i Lignicą, wreszcie cały Górny Śląsk z Katowicami włącznie. Zbiory nie reprezentują Księstwa Cieszyńskiego które w owych czasach wchodziło w skład Austrii.

Co się tyczy fauny ogólnoświatowej, to zbiory cieplickie głównie reprezentują kraje podzwrotnikowe starego i nowego lądu: są one o wiele skromniejsze od dawnego naszego Gabinetu Zoologicznego w Warszawie — z przed roku 1935.

W porównaniu z tym ostatnim, który dzięki pracy Władysława Taczanowskiego, a znacznie później po nim Jana Sztolcmana — stanął w rzędzie pierwszych tego rodzaju zakładów w Europie, dział ornitologii ogólnej muzeum cieplickiego niewiele daje nam rzeczy nowych. Brak tu wielu rzadkości ogólnoświatowych, które mieliśmy w Warszawie.

Dopiero dział fauny śląskiej budzi prawdziwe zainteresowanie przyrodnika i myśliwego możliwością spotkania w każdej grupie zupełnie nieoczekiwanych w tym rejonie gatunków.

W dziale ptaków drapieżnych spotykamy tu: oczywiście orła przedniego (Aquila nobilis) ubitego w grudniu 1873 r na Schneegrube; orła bielika (Haliaetus albicilla) — z okolic Trachenbergu z listopada 1907 r.; krótkoszpona (Circaetus gallicus) z r. 1879 — niewiadomo dlaczego teraz przezwanego „Birkutem bielikiem"; syczka (Pisorrhina scops) — małego puchaczyka ubitego w okolicy starego zamczyska Kynast; sowę jarzębatą długoogonową (Surnia ulula); puszcza uralskiego (Strix uralensis); sowę karliczkę (Glaucidium passerinum) — ubitą w lasach gór Izerskich; wreszcie drzemlika (Aesalon columbarius) sokoła, który zdaje się nieznosić gór.

W dziale kruków i wróblowatych widzimy: wrońca (Corvus corone); duży okaz kruka (Corvus corax) — ubity na Flinsbergu w r. 1856; dzierzbę północną (Lanius excubitor rapax*) — o małym lusterku; dzierzbę płową (Lanius isabellinus*) — wielką rzadkość w Europie; orzechówkę wschodnią (Nucifraga caryocatactes macrorhynchas); drozda czarnobrzuchego (Turdus atrogularis); pluszcza wodnego (Cinclus aquaticus); różne świstunki cz. gajówki mucharki, jak: Phylloscopus bonelli; Ph rufus; Ph. collybita abietina*; dalej gila pospolitego (Pyrrhula p.) — przykład kompletnego melanonizmu; toż samo widzimy u bargła (Sitta europea) całkiem czarnego; w tym dziale są również: duży skowronek (Melanocorypha calandra) ptak rzadki ubity w r. 1878; trzciniak blady (Calamodus paludicolus*); wróbel skalny (Passer petronius*)— przypominający mocno gatunek również rzadki, zalatujący z Ameryki płn. do Europy (mianowicie Zonotrichia hiemalis); zięba śnieżka (Montifringilla nivalis) — góry Izer, listopad 1859 roku; krzyżodziób modrzewiowy (Loxia bucoptera fasciata); łuskowiec (Pinicola enucleator); skowronek dwurożny (Otocorys alpestris); śnieguła (Plectrophenax nivalis); dziwonia (Carpodacus erythrinus); świergotek rdzawoszyiny (Anthus cervinus); czeczotki (Acantis holboelli, flammeus i flavirostris); wreszcie niezmiernie rzadki gatunek trznadla sosnowego (Emberiza leucocephala*) z października 1889 r.

W dziale kaczek (Anatidae) są: świstun (Penelope p.) rożeniec (Dafila acuta); lodówka (Harelda glacialis); kaczka białooka (Nyroca nyroca) i jej pokrewna (Nyroca marila); kazarka (Casarea ferruginea); płaskonos (A. clypeata); k. hełmiasta (Netta rufina) ubita na Flinsbergu w r. 1870; posiewnica (Melanonyx fabalis); czernice (Oidemia nigra i Oidemia fusca); kaczka edredonowa (Somateria mollissima) schwytana pod Krobsdorfem na Feinsbergu w r. 1865; tracz bielaczek (Mergellus albellus) — Flinsberg 1876 r.; dwa gatunki traczy (Mergus serrator i M. mergauser) ubite na Bobrze.

W dziale kuraków, brodźców i t. p. figurują; głuszec (Tetrao urogallus); cietrzew (T. tetrix); pustynnik (Syrrhaptes paradoxus), — samiec i samica ubite w czasie przelotu w r. 1863; drop brodacz (Otis tarda); duży drop afrykański (Otis macqueenii) — (nie należy go mieszać z mniejszymi: Hubara macqueenii i H. undulata) — ubity w r. 1849; żwirowiec obrożny (Glareola pratincola); szablodziób (Recurvirostra avocetta); szczudłak (Himantopus himantopus) — ubity nad Bobrem — gatunek gniazdujący na Węgrzech; ibis kasztanowaty (Plegadis falcinellus); ostrygojad srokaty (Haematopus ostralegus) — z nad Bobru, 1906; płatkonogi (Phalaropus fuli-

---

*) Gatunki oznaczone gwiazdką zasługują na szczególną uwagę, jako b. rzadkie.



Łabędzie odlatują... fot. W. Puchalski

carius i Ph. lobatus); draganki (Pisobia minuta i P. temminckii); czapelka modronosa (Ardeola ralloides) z r. 1869:

W dziale nurów i mew są: lodowiec (Colymbus immer); nur rdzawoszyjny (C. stellatus); perkozy (Podiceps cornutus, Pedetaithya griseigena, Proctopus nigricollis); mewa trójpalczasta cz. gawia (Rissa tridactyla); wydrzyk wielki (Megalestris skua). Gatunki oznaczone * zasługują na szczególną uwagę ornitologów, gdyż rzadko które muzeum może je posiadać.

Brak natomiast w zbiorach fauny Śląskiej Muzeum cieplickiego następujących gatunków, których tam można by się spodziewać:

a) w dziale drapieżnych: Haliaetus leucoryphus — mniejszy bielik o sterówkach białych czarno zakończonych, orzeł, którego spotykałem nad Zbruczem;

b) w dziale krukowatych: sójka złowróżbna (Perisoreus infaustus), którą u nas widziałem jesienią r. 1932 zatrzymującą się w wędrówkach z płn. Europy do krajów naddunajskich.

Pozatym nieobecne: jaskółka grecka (Hirundo daurica) — niekiedy zalatująca do Polski; jaskółka skalna (Clivicola rupestris); jerzyk górski (Miropus melba); płochacz czerwonogarlisty (Calliope calliope) — ptak rzadko zalatujący do Europy z Azji; skowronek tatarski (Melanocorypha yeltoniensis) — do okolic Tarnopola zalatujący ze wschodu; poświerka północna (Calcarius lapponicus) — u nas widywana znacznie rzadziej od śnieguły.

Z gęsi brak Rufibrauta ruficollis — spotykanej u nas zimą na Wiśle oraz na Dźwinie.

Tyle nam mówi o ptakach Śląska muzeum w Cieplicach. A jak się przedstawia dzisiejsza rzeczywistość?

Zaczniemy od terenów górzystych jak Karkonosze i góry Izerskie. W ich częściach skalistych i zalesionych spotkałem przede wszystkim orła przedniego (Aquila nobilis) — choć raz tylko w pobliżu zamku Kynast; również raz widziałem tam puhacza (Bubo maximus), ciągnącego cicho między wierzchołkami modrzewi. Ptak ten w swych wyprawach zbójeckich w tajemniczy sposób porywa ze strychów w miasteczkach położonych wśród gór — prawdopodobnie przez otwarte okna — chowane tam na noc kaczki i kury domowe.

W terenach górskich rzadziej znacznie widywałem jastrzębia i sokola wędrownego; nigdy zaś kani, błotniaków i myszołowów, a z ptaków łownych: kuropatw i bekasów.

W dolinach wśród gór często słychać derkacze (Rallus crex) i bijące przepiórki. Ptactwa śpiewającego b. mało: brak wilgi (Oriolus galbulus) i dzierzby (Lanius excubitor), dużo natomiast kosów i szpaków.

Niegdyś występujący b. obficie na rzekach i potokach górskich pluszcz wodny (Cinclus aquaticus) — ptak zbierający z kamienistego dna potoków i rzeczek górskich ikrę pstrągów; Brehm liczył ok. czterech podgatunków tego ptaka — obecnie należy on do największych rzadkości w tutejszych górach.

Nigdy go też nie spotykałem pomimo częstych obserwacyj rzek w różnych porach roku. Na Wołyniu widziałem raz pluszcza w okoli-

cach Zwiahla na małej strudze płynącej wśród kamienistego jaru.

Z ptaków skądinąd najpospolitszych brak w górach: bociana, czapli i sroki.

O wiele bogatszą zarówno pod względem ilości gatunków, jak i osobników, jest fauna równin rejonu śląskiego.

W okolicach Krzystkowic, Nowogrodu i Żarowa (Gorau) szczególniej nad Bobrem spotykałem latem 1946 r. niezwykle rzadkiego ślepowrona (Nycticorax nycticorax). — W tym też czasie bawił tam rybołów rzeczny (Pandion haliaetus) — głównie dla połowu leszczy. Na piaszczystych rozlewach Bobru w okolicy Nowogrodu (Naumburg) gnieździ się sieweczka obrożna (Charadrius hiaticula), ptaszek brodzący nadrzeczny wielkości dzierlatki, od którego pokrewny gatunek nadmorski (Charadrius dubius) różni się szerszą obrożą czarną. Zimorodki (Alcedo atthis) spotykałem na Bobrze w okolicy Krystkowic i Naumburga we wszystkich miesiącach prócz może stycznia, maja, czerwca i grudnia; prawdopodobnie gnieżdżą się one tam i trzymają stale. Tracza bielaczka (Mergellus albellus) spotkałem tamże na Bobrze w lutym 1946 r.; nad okolicznymi lasami obserwowałem często krążące po trzy sztuki orły dzwonniki (Aquila clanga) polujące zwłaszcza wiosną na króliki. Orły te wspólnie z lisami wyniszczyły tam zupełnie zająca szaraka.

W lasach dolnołużyckich stale gnieździ się sokół wędrowny (Rhynchodon peregrinus), łowiący najczęściej grzywacze (Columba palumbus). Te ostatnie pozostają tam do późnej jesieni po dąbrowach, gdzie prawdopodobnie w tym czasie żywią się żołędziami.

Nad Odrą może i teraz jeszcze można spotkać b. rzadkiego ptaka — żwirowca (Gloreola pratincola), który u nas pojawiał się czasem na żwirowych wydmach Wisły. Żywi on się dość rzadkim owadem mianowicie przebywającymi na wilgotnym żwirze grubymi skoczkami z rodz. Acrididae, które zwinny ten ptak, podobny do jaskółki na podkasałych nóżkach, chwyta podlatując w biegu.

Ciekawem jest, że wszelkie szarańczowate skoczki stanowią ulubiony pokarm wielu naziemnych ptaków — zarówno dropi, strepetów, derkaczy, szpaków, pasterzy — jako też indyków i kur domowych.

W okolicy Lenna nad Bobrem w pobliżu tysiącletniego zamczyska, wznoszącego się na skalnym szczycie góry, widziałem 4 października 1946 r. mnóstwo latających wysoko drobnych jaskółek, podobnych z kształtu do brzegówki (Riparia riparia), które sylwetką nieco się różniły od brzegówki i nie wydawały dobrze mi znanego głosu brzegówek; trzymały się one blisko skał i nigdzie w pobliżu nie było piasku, niemal nieodzownego warunku dla gatunku Riparia. Mogła to być o tej porze roku niezmiernie rzadka w Europie — i na świecie — jaskółka skalna (Clivicola rupestris).

Co do ptactwa łownego, to równiny dolnołużyckie obfitują szczególniej w kuropatwy szare (Perdix cinerea). Na przestrzeni jakich dwóch kilometrów można tam było spotkać we wrześniu ok. sześciu stad. Niszczą je tu wyłącznie kuropatwiarze (Astur gentilis). Z kaczek prawie same krzyżówki, cyranek zupełnie brak (podobnie jak bekasów), w braku mokrych łąk, które te ptaki bardzo lubią. — W zaroślach nadrzecznych w okolicy Nowogrodu spotykałem wiele bażantów pospolitych (odmiany obrożne), a nawet bażantów srebrzystych, które tam do połowy lata wciąż pieją i łopocą skrzydłami. Cietrzewie jeszcze są, natomiast głuszce, z małymi wyjątkami, wojny nie przetrwały. Jak świadczą trofea tu i ówdzie znajdowane po leśniczówkach, były one przed wojną w lasach dolnołużyckich.

Z ptaków łownych przelotnych późną jesienią pojawia się nad Bobrem gęś mała (Anser erythropus), znana u nas z wędrówek jesiennych, kiedy to ciągnie z początku doliną Wisły w kierunku południowym, poczym zawraca na rozlewy Warty w okolicach Częstochowy, a następnie ciągnie na zimowe żerowiska na Odrę i nadodrzańskie oziminy, docierając aż w okolice Szczecina. Stada tej gęsi, liczące razem ok. 400 sztuk, w nieregularnych piątkach rzymskich leciały w końcu października 1946 r. nad Bobrem w kierunku płn. zachodnim.

Na zakończenie wymienię tu główniejsze przyczyny wpływające ujemnie na stan ptactwa na Śląsku.

Przede wszystkim — rozmnożenie zdziczałych kotów domowych, które spotyka się nietylko przy domach, gdzie tępią ptactwo śpiewające (kosy, rudziki i t. p.), ale nawet w wielkich lasach polujące na grubszą zwierzynę, choć na ogół zwierzę to unika większych przestrzeni leśnych i polnych z obawy przed swymi wrogami najniebezpieczniejszymi t. j. pierzastymi drapieżnikami.

Na stan kur, cietrzewi i bażantów już wkrótce zacznie ujemnie wpływać pokaźna ilość zupełnie od początku wojny nie strzelanych jastrzębi (Astur gentilis).

Niezwykle szybkie rozmnażanie sroki — z jednej pary w ciągu trzech lat 27 par — powoduje wyjałowienie ogrodów i zarośli z ptactwa, gdyż ptaki te podpatrują każdy ruch drobnych ptaków, ostrożnie zbliżających się do gniazda, aby im porwać często nagie jeszcze pisklęta. Na równinach Dolnych Łużyc przebywają stada, liczące 20 i więcej sztuk tych szkodników.

Także gleba zatruta na Śląsku wskutek nadmiernego rozwoju przemysłu chemicznego, i nadająca specyficzny charakter tutejszej roślinności, przyczyniała się do zmniejszenia liczebności gatunków ptaków.

Wreszcie, wiele gatunków, przebywających znaczne przestrzenie pieszo, wyemigrowało stad skutkiem swoistej struktury osiedli ludzkich, ciągnących się niemal nieprzerwaną linią zabudowań wzdłuż wszystkich głównych dróg bitych i kolei żelaznych — i ogradzających, niby parkanem, wszystkie naturalne leśne i polne gniazdowiska.

St. Łysiński

KARPACKIE JELENIE

Kiedy, dzięki gościnności szwagrów moich, wybrałem się po raz pierwszy na rykowisko w Karpaty, przekonałem się od razu, jak dalece odmienne są warunki łowów górskich od dotąd mi znanych podchodów i polowań na jelenia nizinnego. Podczas gdy w warunkach nizinnych zdobycie wieńca w 50% możnaby nazwać dziełem szczęśliwego przypadku, dalsze 40% szans daje myśliwemu zwierzyna sama, mająca ostoję w stosunkowo niewielkich i łatwo dostępnych rewirach, pozostałe 10% zaliczyć można jedynie na wysiłek i spryt myśliwego.

Jakże inaczej jest w górach. Tu można śmiało powiedzieć, że 90% szans leży po stronie jelenia, szans, które wytrwałością, sprytem, błyskawiczną orientacją i „last not least" dużym wysiłkiem fizycznym zwyciężyć trzeba. Myśliwy zwyczajny łatwych zdobyczy nic tu nie zdziała i powróci do domu z pustymi rękami i dozą goryczy w sercu.

Pierwszą i zarazem zasadniczą szansą górskiej zwierzyny, to znakomite zlanie się z terenem i tłem, utrudniające nowicjuszowi ujrzenie zwierza, nawet przez dobrą i posiadającą silne światło lornetkę. Trzeba się po prostu najpierw nauczyć patrzeć. Przez całe 5 lat, które polowałem w górach, podziwiałem stale fantastyczną wprost zdolność wzrokową tamtejszych huculów, potrafiących gołym okiem wykryć to, czego ja 8-krotnym „Zeissem" zobaczyć nie mogłem.

Nic też dziwnego, że zaraz przy pierwszym spotkaniu, na drugi dzień pobytu w górach, chybiłem sromotnie najlepszego może w mym życiu jelenia i to na zupełnie otwartym, silnie jednak zawalonym zrębie. Dialog mój ze szwagrem, który mnie prowadził, był dość denerwujący, no a siedząc bez ruchu za przewróconym sucharem, nie można sobie pozwolić na pokazywanie palcem. Palnąłem zatem do byka na odległość ca 300 m — zrobiłem sporą dziurę w powietrzu i zapeszyłem jelenia na cały czas rykowiska. A był to stary legendarny 16-tak, o którym straż tamtejsza wyrażała się z dużym szacunkiem i poważaniem.

Pierwsze to pudło otrzeźwiło mnie zupełnie. Krótki mój Mannlicher powiesiłem na haku w kolibie i przez szereg dni chodziłem bez broni po górach, ucząc się patrzeć i poznając teren. Tych kilka dni praktyki zrobiło mi doskonale. Zapoznałem się z częścią dużego terenu łowiska i przekonałem się, że strzał w górach, oddany przeważnie na odległość 200—300 m, wymaga zupełnie innej broni, niż krótkolufowy Mannlicher. W rewirach górskich posługiwać się trzeba bronią długolufową o bardzo precyzyjnym strzale, a ponadto dużym kalibrem, dającym możliwie jaknajwiększy efekt strzału. Jest to konieczne głównie dlatego, że źle trafionego jelenia, słabo farbującego, przeważnie nie znajdzie myśliwy w tamtejszych dziewiczo zawalonych terenach.

Sztucer taki „Mauser-Magnum" szczęśliwie stał do mojej dyspozycji, wybrałem się więc ponownie na zgóry upatrzonego byka, który od szeregu dni w tym samym miejscu pilnie porykiwał. Istotnie, zaraz pierwszego wieczora ujrzeliśmy jelenia wychodzącego z ochronnego lasu i schodzącego posuwistym krokiem po zboczu przeciwległej góry obrośniętym 2—3-letnim młodniakiem. W przerwach pomiędzy krzewami rozpoznałem byka, jako niezłego dziesiątaka o dwóch kielichowych koronach, nie zasługującego co prawda na tytuł kapitalnego, lecz pomimo to łownego jelenia. Postanowiłem odczekać do chwili, gdy zwierz zatrzyma się w dogodnej dla strzału pozycji. Chwila ta jednak



8-tak karpacki fot. J. Donimirski

nie nadchodziła i jeleń zeszedł aż do potoku tak, że go miałem prawie pod sobą. Odległość wynosiła jeszcze około 200 m, jednak dalsze zwlekanie ze strzałem wydawało mi się ryzykowne i w chwili, gdy na kilka sekund ujrzałem wolną komorę, palnąłem z mej małej armaty. Po strzale silny odrzut broni i ostry ból u nasady nosa przewróciły mnie formalnie na wznak. Nie wiem jak jeleń, ale ja tym razem farbowałem doskonale, gdyż zbyt blisko, nie do mego przykładu zmontowana luneta, wyżłobiła mi w chwili strzału spory przesmyk pomiędzy oczami. Szwagier mój, obserwujący z boku tę całą gimnastykę z pobłażliwym uśmiechem, podchodzi jednak do mnie gratulując pierwszego górskiego jelenia. Byk padł w ogniu. Wyraźnie słychać było łomot walącego się ogromnego zwierza. Tam koło czerwonego buka musi leżeć. Obaj dla uspokojenia nerwów zapaliliśmy papierosa, dając się wykrwawić zwierzynie i mnie z ran zadanych równocześnie z tej samej broni.

Ale karpacki jeleń to gracz niełada. — Kiedy po kilku minutach przebywszy zawalony zrąb odnaleźliśmy miejsce, w którym byk się przewrócił, jelenia nie było, farby też nie było, był tylko buk czerwony, niemy świadek zagadkowego zdarzenia. Byłem tak zdumiony nieoczekiwanym obrotem sprawy, że przysiadłem na chwilę, aby uprzytomnić sobie ponownie cały przebieg wypadków. Nagle na przeciwległym zboczu odezwał się potężny ryk. Spojrzałem przed siebie i ujrzałem mego byka szybkim krokiem uchodzącego w górę swoim poprzednim śladem. Nie było chwili do stracenia, odległość wynosiła już przeszło 300 m, drugie tyle dzieliło jelenia od ochronnego lasu. Nałożenie lunety było dziełem sekundy, oparcie znalazło się szczęśliwie na ramieniu szwagra i w chwili, gdy byk odwrócił się na chwilę, by ponownie wydać gniewny pomruk w naszym kierunku, padł strzał. — Wtedy nabrałem szacunku dla wspaniałego Mausera. Jeleń po strzale padł na wznak i zjechał martwy po zboczu dobrych 20 m. Gdy po godzinnej prawie wspinaczce po pełnym wykrotów zrębie dobrnęliśmy do leżącego zagadka się wyjaśniła. Pierwszy strzał był tylko lekkim postrzałem krzyża pacierzowego. Oddany z góry na dół, źle obliczony, poraził jedynie nerwy kręgowe, powodując chwilową kontuzję zwierza, dając równocześnie pozory dobrego trafienia. Po krótkim omdleniu byk cicho wstał i wyniósł się ukradkiem, a zdradziła go jedynie zbytnia pewność siebie i niepohamowana złość której dał upust myśląc, że mu już nic nie zagraża. Wieczór się zbliżał. Nie było czasu na ukręcenie głowy jelenia, zawiesiliśmy więc chustki do nosa na obu koronach wieńca i zrobiwszy prowizoryczny szkic sytuacji wyruszyliśmy w mozolną powrotną drogę.

W następnym roku depesza z Karpat o rozpoczętym rykowisku zastała mnie przy pracy zasiewów jesiennych. Próbowałem dokończyć pracy, nie mogłem. Wydawszy krótkie telefoniczne dyspozycje, wsiadłem na kurjer i opętany zupełnie karpacką gorączką, po 24 godzinach jazdy, dotarłem do upragnionego celu.

Trafiłem, niestety, na zmianę pogody. Piękna, słoneczna, górska jesień przekształciła się w słotną, pochmurną pogodę, ociepliło się znacznie i jelenie, które dotąd dawały prawdziwy koncert miłosny, zamilkły tajemniczo i stały się niewidoczne. Pierwszych kilka dni minęło nie zapowiadając zmiany na lepsze. Nic nie pomagały najlepsze trunki wypijane w gronie myśliwych na jutrzejszą dobrą pogodę. Chmury wisiały nisko, suchary waliły się na wyścigi, a salamandry, ten najlepszy barometr górski, powolnym i ociężałym krokiem, kręciły się pod nogami. Oprócz grubego, prawie czarnego jelenia, który pewnego wieczoru z chmarą łań przesunął się jak duch przez wąski zrąb na nieosiągalną odległość, nic godnego uwagi nie mogłem zanotować, pomimo rannych i wieczornych podchodów.

Na 2 lub 3 dni przed z góry określonym dniem odjazdu, w godzinach rannych, dotarłem na brzeg zrębu zawalonego chrustem i zarośniętego młodniakiem. Zmęczony parogodzinnym podchodem, przysiadłem na pniaku, ostukawszy poprzednio okoliczne zarośla laską dla odstraszenia żmij dość licznych w tym rewirze. Mżył drobny kapuśniaczek i jelenie, jak dotąd, milczały. Wiatr, jak to bywa w górach, kręcił się dookoła, mając jednak wagę od zrębu w moim kierunku. Siedziałem tak może z pół godziny, patrząc przed siebie bez żadnej nadziei. Nagle, na przeciwległym brzegu zrębu, z gęstego kilkoletniego młodniaka, wysunęła się łania. Stara, doświadczona „ciotka" stała, jak z brązu ulana, długą szyję z ogromnymi uszami wyciągnąwszy przed siebie, wciągała wiatr szeroko rozstawionymi nozdżami. Zsunąłem się powoli z pniaka i pod jego osłoną obserwowałem zwierzę. Trwało to może 15 minut. Łania nie zmieniała pozycji i oglądając się raz po raz za siebie, zdradzała tym obecność za nią jeszcze czegoś więcej. Byłem prawie pewny cielaka lub młodego szpiczaka. Wzrok mój zmęczony jednostajnym patrzeniem przez mocnego „Zeissa", wymagał chwil przerwy w obserwacji. Gdy po takiej przerwie podniosłem znów lornetkę do oczu, ujrzałem, że obok pierwszej pojawiła się druga łania. Skurczyłem się jak mogłem i wciągając nogi w zarośla, starałem się osiągnąć jaknajlepsze zlanie się z terenem. Dwie łanie to już pół byka. Lekka nadzieja i współdziałające z nią podniecenie nerwów powoli wzrastały. Mijały długie minuty, nie przynoszące żadnej zmiany obrazu. Łanie z coraz to dłuższymi szyjami, zrobiły parę kroków wgłąb zrębu.

Nagle spoza plastronu korzeni przewróconej jodły, mignęła odnoga wieńca, łudząco podobna do sterczących konarów. Czy to byk, czy też poruszane przez wiatr odłamane końce gałęzi? Instynktownie czułem obecność jelenia i serce waliło we mnie jak młotem. Gdy po kilku dalszych minutach, trwających wieki, wyhynęła tym razem cała połowa wieńca, wiedziałem już, że byk jest gruby, wskutek podniecenia nerwów nie mogłem jednak porachować końców, których, jak mi się zdawało, były ogromne ilości. Nareszcie, gdy dochodziłem już do kresu naprężenia nerwów, jeleń postąpiwszy parę kroków naprzód, stanął za łanią, ukazując piękny wieniec zakończony podwójnymi koronami po każdej stronie. Mauser już leżał przy oku, czekając sposobnego momentu do strzału. Tymczasem jednak t. zw. gorączka myśliwska opanowała mnie bez reszty. Czułem, że w tym stanie chybię jelenia z całą pewnością. Aby choć na moment odzyskać panowanie nad sobą, uszczypnąłem się silnie w łydkę i powiedziałem niemal głośno „ty stary idioto". Jak na komendę, łania postąpiła kilka kroków w bok, odsłaniając jelenia. Huk strzału rozniósł się stokrotnym echem po górach, silny odrzut broni jednak uniemożliwił ocenę trafności. Było mi zresztą zupełnie obojętne, czy byk leży czy poszedł. Reakcja nerwów po strzale była tak silna, że nie mogłem literalnie ruszyć się z miejsca. Nie spróbowałem nawet zarepetować sztucera. Gdy ukryty w lesie mój hucuł-przewodnik podszedł do mnie z niemym pytaniem, odpowie-

działem „nie wiem, wszystko mi jedno". Hucul. jak małpka skacząc po wykrotach, puścił się we wskazanym kierunku i po dłuższej chwili wyczekiwania, usłyszałem radosny okrzyk: „Pan, Pan, chodźcie, zobaczcie!" — Skoczyłem na pień, a gdy po kilku minutach dotarłem do miejsca, leżał przede mną piękny, stary byk o regularnych 18 końcach. Z gałązką jedliny w ręku, długo stałem przed cenną zdobyczą, dziękując patronowi myślistwa za szczególną łaskę.

W jednym z następnych lat pojawił się w naszych rewirach płowy jeleń. Szerść jego w przeciwieństwie do ciemnych górskich jeleni była o wiele jaśniejsza. Kiedy przybyłem w góry, jak zwykle ostatni, „płowy" miał już swoją historię. Obaj moi szwagrowie już kilkanaście dni daremnie próbowali dobrać się do jego skóry. Byk bowiem ogromny, z wspaniałą rozłogą wieńca, ostoję swą obrał w dużym, gęsto zarośniętym i zawalonym jarze. Wychodził późnym wieczorem, a nocą już wracał w swe gąszcze, ryczał rzadko, krótko i grubo. Nie pomogła i muszla, naśladująca zew nadchodzącego rywala lub miłosne stękanie grzejącej się łani. Byk zaszyty w gęstwinie zdawał się kpić z forteli mówiąc „znam się na tych kawałach, to nie łania, to lipa".

Ujrzałem „płowego" pewnego południa na otwartym zrębie, goniącego młodszego od siebie rywala, strzelać jednak nie mogłem. gdyż oba byki biegły mocnym truchtem na odległość jakichś 400 m. Jeleń mnie urzekł. Wspaniały, w biegu na grzbiecie położony wieniec, błyszczał w słońcu białymi końcami, a ciężka masywna postać stwarzała wrażenie przedpotopowego olbrzyma.

Pierwsze dni nie przyniosły mi szczęścia. Rykowisko dobiegało końca. Do ostatecznie ustalonego dnia mego odjazdu dorzucałem po jednej dobie. Ostatni ranek był chmurny i mgły gęste leżały nisko po jarach. O zupełnej ciemności wyszedłem z koliby. aby przed wschodem być na stanowisku, w pobliżu sztucznej lizawki, chętnie przez jelenie odwiedzanej. Kiedy zasiadłszy za rosochatą jodełką, sprawdziłem magazyn i wytarłem szkła od lunety, koło lizawki rozpoczął się ruch. Najpierw łania z cielakiem przyszła się raczyć słonym przysmakiem potem młody ósmak lekkomyślnym krokiem niedoświadczonego młokosa podszedł do lizawki i szturchnąwszy porządnie cielaka w bok, sam zajął jego miejsce. Łania spojrzała na niego z podełba z wyrzutem „gdzieś ty się chował:? Kiedy po chwili jeszcze jedna łania i widłak dołączyły się do stadka, całe to towarzystwo zachowywało się beztrosko i nieprzyzwoicie, jak na dancingu. Panowie próbowali zalotów, panie dawałay się prosić. Poszturchnięte cielę stało zgorszone na boku.

Od strony jaru, ostoi „płowego", zbliżała się powoli, lecz nieubłaganie ogromna chmura gęstej mgły. Kiedy nieprzeniknionym welonem otoczyła widownię, potężny ryk przerwał zaloty. Nadchodził „płowy". Widziałem ponad pasmem mgły potężne końce w koronach wieńca: Wyczuwałem kontury przesuwającego się ciężko ogromnego byka, ujrzeć go jednak nie mogłem. Cała ta wizja trwała kilkanaście sekund. Nie odważyłem się strzelić, nie chcąc niepewnym strzałem zmarnować tak pięknego jelenia. Trzask łamanych racicami gałęzi i głośne tupoty, świadczyły, że lokal dancingowy został przez gospodarza brutalnie zamknięty, a goście ulotnili się w różnych kierunkach. Kiedy po dobrej



W drodze powrotnej
fot. Donimirski

chwili kurtyna mgły podniosła się wyżej, scena była pusta, a złe chochliki górskie zdawały się mówić z sarkazmem „możesz wracać do domu, już nic więcej nie będzie". Z ciężkim sercem powstałem, żegnając urwiska i jary przepięknych karpackich rewirów. Św. Hubert jednak pamiętny swej własnej przygody, pozwolił mi w drodze powrotnej ubić pięknego 12-taka w nagrodę za życie „płowego".

Minęło lat sporo. Chciwy Niemiec zagrabił moje piękne trofea. Zostały tylko wspomnienia: — dziś znowu jest wrzesień, a po lasach i jarach gra echo ryczących rogali. Błyszczą połoniny miljardem iskier w słońcu kąpiącej się rosy; a zdala słychać smętną melodję huculskiej fujarki.

Zbyt piękne to było, by mogło powrócić.

Jan Donimirski

PROTOKÓŁ

z posiedzeń Rady Naczelnej P. Z. Ł. w dniach 27 i 28 czerwca 1947 r.

CZŁONKOWIE RADY:

WPrezes P. Z. Ł. Prof. Gieysztor Józef.

CZŁONKOWIE:

Humiński Karol, Kowalski Zbigniew, Mniszek Tchorznicki Mieczysław, Mrugasiewicz Wiktor, Nowak Maciej, Ostrowski Józef, Zabłocki Zbigniew Tadeusz.

PREZESI WOJEWÓDZKICH RAD ŁOWIECKICH:

Śląsko Dąbrowieckiej — Rowiński Antoni, Kieleckiej — Ihnatowicz Stanisław, Krakowskiej — Lardemer Adam, Łódzkiej — Głowacki Gabriel, Pomorskiej — Zdrójkowski Michał, Białostockiej — Erdman Karol, Dolno - Śląskiej — Szol Tadeusz, Warszawskiej — Kierwiński Włodzimierz.

GOŚCIE:

Stanisław Madeyski, Stanisław Cenkier, Tomasz Zan, Stanisław Steliński, Rudolf Herczka, Jerzy Dylewski.

Porządek obrad:

1 Odczytanie protokółu z dnia 11 maja 1947 r.
2 Sprawozdanie Przewodniczącego i Skarbnika Komitetu Wykonawczego.
3 Preliminarz budżetowy
4 Wybory do Władz Naczelnych P.Z.Ł.
5 Opłaty kynologiczne.
6 Zmiana Statutu P.Z.Ł.
7 Ustawa Łowiecka.
8 Wnioski zgłoszone na Walne Zgromadzenie.
9 Wolne wnioski.

Posiedzenie otworzył o godz. 12.40 Kol. Prof. Józef Gieysztor, odczytując porządek obrad, który przez zebranych przyjęty został z zastrzeżeniem przeniesienia p-ktu 6 i 7 jako punkt 2-gi i 3-ci na pierwszy dzień posiedzenia.

do 1. Kol. Zdrójkowski zauważył brak w protokóle wyjaśnienia, które złożył na poprzednim posiedzeniu Rady Naczelnej, w dyskutowanej sprawie zarządzenia Ministerstwa Leśnictwa o wysokości pobieranych tenut za dzierżawę obwodów łowieckich. Kol. Zdrójkowski twierdzi, że zarządzenie to wpływa na ograniczenie kompetencji Dyrekcji Lasów Państwowych, nie godząc bezpośrednio w gospodarkę łowiecką.

Protokół z posiedzenia Rady Naczelnej z dnia 11 maja poza wymienioną poprawką przyjęty został bez zastrzeżeńż

do 2. Ze względu na to, że sprawozdanie z działalności Komitetu Wykonawczego odczytane będzie na Walnym Zgromadzeniu, kol. Kowalski ograniczył ten referat podając zebranym do wiadomości ważniejsze tylko momenty sprawozdania jak niżej:

1. Objęcie protektoratu nad Polskim Związkiem Łowieckim przez Marszałka Polski Michała Żymierskiego. (Wiadomość tę przyjęto owacyjnie);

2. Odbycie konferencji w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego — której pozytywne wyniki dadzą Związkowi duże korzyści;

3. Ustalenie spornych punktów na tematy łowieckie z Ministerstwem Leśnictwa na odbytej wspólnie konferencji w bieżącym miesiącu.

4. Sprawy wewnętrzne Komitetu Wykonawczego: przygotowanie projektu ustawy łowieckiej, zmiana Statutu P.Z.Ł. oraz załatwienie bieżących spraw związanych z Walnym Zgromadzeniem.

Następnie kol. Kowalski, pod nieobecność Skarbnika Komitetu Wykonawczego,odczytał i zreferował wykonanie preliminarza budżetowego za rok 1946 oraz bilans P.Z.Ł. na 1 stycznia 1947 r.

Do powyższych spraw głos zabrali kolejno kol. kol. St. Madeyski, M. Zdrójkowski i St. Ihnatowicz.

Pierwszy z nich poruszył sprawę przynależności spraw łowieckich do jednego z Ministerstw — Leśnictwa lub Rolnictwa, co wyjaśnił kol. Kowalski, informując zebranych, że sprawa ostatecznie zdecydowana została przez zrzeczenie się Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych kompetencji do spraw łowieckich na korzyść Ministerstwa Leśnictwa.

Przed tą decyzją Związek otrzymał listy obu Ministerstw z życzeniem wypowiedzenia stanowiska P.Z.Ł. do tej sprawy. W obu wypadkach Komitet Wykonawczy wyraził umotywowane żądanie przynależności resortowej do Ministerstwa Leśnictwa.

Kol. Zdrójkowski, zabierając głos do sprawozdania finansowego, w formie wyjaśnienia podaje, że wykazany dług Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Toruniu za zaległe składki członkowskie wynikł z tego, iż członkowie, którzy nie otrzymali „Łowca", odmówili zapłacenia pełnej składki łącznie z prenumeratą. Dlatego też kol. Zdrójkowski uważa, że sprawa doręczania pisma w terminie wszystkim prenumeratorom jest nader ważna.

W odpowiedzi na powyższe kol. Kowalski dał obraz trudności, na jakie napotykała Redakcja „Łowca" w rozsyłaniu numerów, począwszy od zakupu papieru, a skończywszy na samej ekspedycji gotowych egzemplarzy, w ciągu ostatniej zimy.

Można mieć jednak nadzieję, iż wobec objęcia protektoratu nad P. Z. Ł. przez Ob. Marszałka Polski i uzyskania od Niego obietnicy poparcia naszych interesów — wydawnictwo organu Związku „Łowiec Polski" przestanie przyczyniać trudności.

Kol. Ihnatowicz zarzuca nieformalne przedstawienie zebranym spraw finansowych wobec braku podpisów na egzemplarzach wykonania preliminarza budżetowego za rok 1946, oraz bilansu zamknięcia na 1 stycznia 1947 r. Również brak załączników do tych egzemplarzy kol. Ihnatowicz uważa za dostateczny powód do nieprzyjęcia sprawozdania finansowego.

Kol. Mniszek-Tchorznicki wyjaśnił, że odbite na powielaczu ważniejsze rachunki do sprawo-

zdania finansowego wykonane są jako kopie dla łatwiejszego zorientowania członków Rady Naczelnej w sprawach finansowych — nie stanowią żadnych prawnych dokumentów, które — wraz z odpowiednimi załącznikami — znajdują się przy protokóle Komisji Rewizyjnej i mogą być przedstawione na żądanie w każdej chwili.

Sprawozdanie finansowe przyjęte zostało przez wszystkich zebranych — prócz kol. Ihnatowicza — który motywując swoje stanowisko. złożył oświadczenie do protokółu w sprawie formalnego zamknięcia bilansu.

do 3. Odczytany i zreferowany przez kolegę Kowalskiego preliminarz budżetowy, następnie poddany pod głosowanie — przyjęto przy dwóch głosach wstrzymujących się od głosowania: kol. Ihnatowicza St. i Kowalskiego jako referenta. Po ukończeniu dyskusji nad punktem 3-cim przewodnictwo posiedzenia objął przybyły z Warszawy Prezes, Generał Szarecki.

do 4. Kol. Kowalski przedstawia obecny skład Rady Naczelnej P. Z. Ł., odczytując rezygnację kolegów:

Feliksa Soboczyńskiego — z mandatu Wice Prezesa P. Z. Ł.,

Kazimierza Cybulskiego — z mandatu członka Rady Naczelnej i Skarbnika Komitetu Wykonawczego,

Hermana Knothego — z mandatu członka Rady Naczelnej,

Czerskiego Stanisława — z mandatu członka Rady Naczelnej i Komitetu Wykonawczego.

Wobec wyjazdu Generała Nowodworskiego zagranicę — powstał jeszcze jeden wolny mandat P.-Prezesa P. Z. Ł.

Zebrani członkowie Rady Naczelnej powyższe zrzeczenia przyjęli do wiadomości, prócz zrzeczenia kolegi Cybulskiego, które na wniosek kol. Humińskiego zostało odrzucone ze względu na brak uzasadnionych motywów oraz na działalność kol. Cybulskiego, jako Skarbnika Komitetu Wykonawczego.

Wniosek ten przyjęty został przez wszystkich, za wyjątkiem przeciwnego głosu kol. Ihnatowicza.

Następnie przystąpiono do losowania członków Rady Naczelnej według starszeństwa, w wyniku czego wylosowani zostali koledzy: Zabłocki Zbigniew oraz Ostrowski Józef.

W związku z projektowanymi zmianami Statutu P. Z. Ł. i rozszerzeniem składu Rady Naczelnej przez wejście z urzędu przewodniczących niektórych Komisji Głównych uchwalono wprowadzenie do Rady Naczelnej Przewodniczących 7-miu następujących Komisji: Kynologicznej. Prawniczej, Wydawniczej, Walki z kłusownictwem, Muzealnej i Pokazów. Propagandowej. oraz Spółdzielni.

Kol. Prof. Józef Gieysztor złożył zrzeczenie się mandatu W.-Prezesa, co zebrani przyjęli do wiadomości, wraz z wnioskiem kol. Ihnatowicza nadania koledze Profesorowi godności członka honorowego.

Podaną kandydaturę kol. Generała Mossora na W.-Prezesa P. Z. Ł. zebrani przyjęli przez aklamację.

Dalej przystąpiono do tajnego głosowania, w wyniku którego Komisja skrutacyjna w składzie kol. kol. Cenkiera Stanisława, Herczki Rudolfa oraz Dylewskiego Jerzego stwierdziła co następuje:

na kandydatów na W.-Prezesów P. Z. Ł. wybrano kol. kol.: Niezabitowskiego Mieczysława oraz Głowackiego Gabriela;

na kandydatów do Rady Naczelnej kol. kol. Ostrowskiego Józefa, Zabłockiego Zbigniewa Karwowskiego Janusza, Mineckiego Apolinarego oraz Łętowskiego Stanisława.

do 5. Punkt ten zdjęto z porządku obrad z powodu nieobecności referenta — Przewodniczącego Komisji Głównej Kynologicznej — kol. Zbigniewa Klawego.

do 6. Dyskutując nad zmianami Statutu, które w ogólnym zarysie miały na celu uaktualnienie i dostosowanie do obecnych warunków pewnych paragrafów, poczyniono ważniejsze poprawki — a mianowicie:

zniesienie podziału członków na „zwyczajnych" i „nadzwyczajnych" — wprowadzając jedynie dla nowowstępujących przymusowe, szczegółowe egzaminy z teorii łowiectwa, oraz wprowadzono nowy paragraf w sprawie zwiększenia ilości członków Rady Naczelnej przez wprowadzenie przewodniczących niektórych Komisji Głównych, o czym była mowa wyżej.

Ilość mających wejść w poczet członków Rady Naczelnej przewodniczących Komisji określać będzie każdorazowo Walne Zgromadzenie.

do 7. Dyskusja nad projektem noweli do Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej o prawie łowieckim, opracowanej na podstawie dwóch projektów: kol. Kowalskiego i Komisji Prawniczej, trwała przez półtora dnia obrad. W wyniku jej wprowadzono szereg zmian, które mają być przedstawione do akceptacji Walnemu Zgromadzeniu w dniu 29. 7. 1947 r.

do 8. Wolnych wniosków na Walne Zgromadzenie w terminie przepisowym nie zgłoszono.

do 9. Kol. Adam Lardemer — w imieniu Krakowskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej — zgłasza wniosek nadania godności członków honorowych kolegom: Prof. Szaferowi Władysławowi oraz Prof. Ziembickiemu Witoldowi, motywując jednocześnie swoją propozycję zarysem działalności łowieckiej na przestrzeni wielu lat pracy obu kolegów.

Zebrani wniosek Krakowskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej przyjęli jednogłośnie.

Również przez aklamację przyjęto wniosek kol. Mrugasiewicza o nadanie koledze Edwardowi Schechtlowi mandatu członka Kapituły Odznaczeń Łowieckich.

Kol. Kowalski komunikuje, że w dniu 29 czerwca b. r. po raz pierwszy po wojnie zbiera się Sesja Conseil International de la Chasse w Paryżu, w której uczestniczyć będą także prazedstawiciele P. Z. Ł. w osobach kol. kol.

Regulskiego Janusza oraz Tallen Wilczewskiego Aleksandra. W związku z tym Komitet Wykonawczy projektuje wysłanie odpowiedniej depeszy.

Projekt depeszy zebrani postanowili przedstawić Walnemu Zgromadzeniu.

Następnie kol. Kowalski podał do wiadomości treść oświadczenia, jakie wygłoszą przedstawiciele P. Z. Ł. na Sesji C.I.C. w Paryżu.

Na powyższym przybyły w drugim dniu obrad Prezes, Generał Bolesław Szarecki, zamknął posiedzenie, składając serdeczne podziękowanie wszystkim uczestnikom zebrania.

Obrady zaczęto w dniu 27. 7. 1947 r. o godz. 12.10 — zakończono o godz. 22.10.

W dniu 27.7. rozpoczęto obrady o godz. 8.15, zakończono o godz. 21.45.

Sekretarz
M. Nowak

Przewodniczący
Prof. Generał Dr *B. Szarecki*
Prof. *J. Gieysztor*

PROTOKÓŁ

z Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego

odbytego w dniu 29. VI. 1947 r. w Opolu.

OBECNI:

Prezes P.Z.Ł. Generał Prof. Dr. Bolesław Szarecki.
WPrezes P.Z.Ł. Prof. Gieysztor Józef.

CZŁONKOWIE RADY NACZELNEJ::

Humiński Karol, Kowalski Zbigniew, Mniszek Tchorznicki Mieczysław, Mrugasiewicz Wiktor, Nowak Maciej, Ostrowski Józef, Zabłocki Zbigniew Tadeusz.

PREZESI WOJEWÓDZKICH RAD ŁOWIECKICH:

Śląsko - Dąbrowieckiej — Rowiński Antoni, Kieleckiej — Ihnatowicz Stanisław, Krakowskiej — Lardemer Adam, Łódzkiej — Głowacki Gabriel Pomorskiej — Zdrójkowski Michał, Białostockiej — w z. Szymański Bronisław, Dolno Śląskiej — Szol Tadeusz, Warszawskiej — Kierwiński Włodzimierz.

PRZEDSTAWICIELE INSTYTUCJI I WŁADZ:

Inż. Ostrowski Józef, przedstawiciel Ministra Leśnictwa, Starosta Opolski i przedstawiciel Gen. Witolda.

DELEGACI WOJEWÓDZKICH RAD ŁOWIECKICH

Śląsko Dąbrowieckiej, Gdańskiej, Kieleckiej, Krakowskiej, Lubelskiej, Łódzkiej, Pomorskiej, Mazurskiej, Poznańskiej, Pomorza Zachodniego, Białostockiej, Rzeszowskiej, Dolno Śląskiej, Warszawskiej;
oraz goście.

PORZĄDEK OBRAD:

1. Zagajenie Walnego Zgromadzenia
2. Przemówienie powitalne
3. Odczytanie i zatwierdzenie protokółu z dn. 16 czerwca 1946 r.
4. Odczytanie i zatwierdzenie sprawozdania z działalności Komitetu Wykonawczego i Rady Naczelnej
5. Sprawozdanie finansowe; rozpatrzenie i zatwierdzenie bilansu i rachunku strat i zysków za rok 1946, Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej, oraz uchwalenie preliminarza budżetowego na 1947 r.
6. Wybory do Władz Naczelnych P. Z. Ł.
7. Sprawa Ustawy łowieckiej
8. Zmiany Statutu P. Z. Ł.
9. Ustalenie składki na rok 1948.
10. Sprawy Spółdzielni
11. Wolne wnioski.

do 1 i 2. — Otwierając o godz. 10.30 Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego Prezes, Generał Prof. Dr Bolesław Szarecki, wygłosił następujące przemówienie powitalne:

„Witając serdecznie wszystkich tu zebranych, pragnę zaznaczyć, że Polski Związek Łowiecki, przezwyciężając z chłopskim uporem tak materialne jak i moralne trudności oraz przeciwności okresu powojennego, potrafił, w oparciu o nowy demokratyczny ludowy ustrój państwowy, nie tylko usunąć ze swej drogi liczne przeszkody lecz także potrafił wznieść się do wysokości celów i zadań, stojących przed Polskim Związkiem Łowieckim.

Polski Związek Łowiecki potrafił w nowych warunkach, które powstały po utrwaleniu głębokich przemian społecznych, gospodarczych i politycznych przez obecny Rząd i Sejm Ustawodawczy, zorganizować się oraz stworzyć i uporządkować placówki niezbędne do dalszego życia i rozwoju łowiectwa.

Pozostaje jeszcze dużo do zrobienia i nad tym Walne Zgromadzenie będzie obradować. To też życząc jak najwięcej pozytywnych osiągnięć, pragnę szczególnie podkreślić dwa momenty, ściśle związane z dzisiejszym Walnym Zgromadzeniem.

Pierwszy z tych momentów to w życiu Polskiego Związku Łowieckiego doniosły fakt objęcia wysokiego protektoratu nad Związkiem przez Marszałka Polski i Ministra Obrony Narodowej Michała Żymierskiego. Możemy być dumni z zaszczytu, który nas spotkał tym bardziej, że Polski Związek Łowiecki jest pierwszym stowarzyszeniem, nad którym Marszałek Polski objął protektorat. Jednocześnie z prawdziwą satysfakcją pragnę zaznaczyć, że dotychczasowa praca dała owocne wyniki, dzięki którym uzyskano zgodę Marszałka Polski na objęcie przez Niego protektoratu

Dlatego też ze szczególnym zadowoleniem notuję fakt, że nasze poczynania na niwie łowieckiej zostały po raz pierwszy uznane i ocenione nie jako rozrywka, przyjemność czy nawet sport, lecz jako praca nad podniesieniem łowiectwa do wyżyn, zapewniających Państwu korzyści gospodarcze oraz rozwój naszej fauny ojczystej w skali państwowej.

Drugim momentem, który pragnę podkreślić, to miejsce dzisiejszego zgromadzenia. Miejsce to nie zostało wybrane przypadkowo. Opole to prastare piastowskie miasto, to spływająca polską krwią stolica regencji opolskiej pod władaniem niemieckim, to cel trzech powstań śląskich, to wreszcie jedno z miast zdobytych krwawą ofiarą naszego żołnierza.

W dniu dzisiejszym zbiera się w Paryżu po raz pierwszy po wojnie Conseil International de la Chasse. Na zebranie to zostali wydelegowani przedstawiciele Polskiego Związku Łowieckiego, aby dziąć udział w pracach Międzynarodowego Łowiectwa oraz aby wobec zgromadzonych w Paryżu myśliwych całego świata demokratycznego zadokumentować nierozerwalność więzi łączącej Polskę z jej Ziemiami Odzyskanymi.

I tak jak dzisiaj w Szczecinie, na Święcie Morza, Rząd i Naród podkreślają raz jeszcze nienaruszalność naszych granic zachodnich, tak i my na naszym odcinku podkreślamy wobec świata, że cały Naród bez wyjątków i różnic społecznych stoi nieugięcie na straży granic na Odrze i Nysie, wyrąbanych orężem żołnierza polskiego oraz żołnierza Armii Radzieckiej.

Na zakończenie proponuję wysłać depeszę do Marszałka Polski, protektora Polskiego Związku Łowieckiego, Michała Żymierskiego oraz do Prezydium Zjazdu Conseil International de la Chasse w Paryżu:

„Marszałek Polski Michał Żymierski, Warszawa, Sztab Generalny

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego, obradujące na prastarych ziemiach piastowskich w Opolu, przesyła Obywatelowi Marszałkowi Polski wyrazy głębokiej czci i wdzięczności za łaskawe objęcie wysokiego protektoratu nad Związkiem oraz zapewnienia, iż Polski Związek Łowiecki pracować będzie nadal usilnie nad podniesieniem łowiectwa polskiego na poziom najwyższy.

„Conseil International de la Chasse
Paris
rue de Clichy 21

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego, obradujące w Opolu, w mieście położonym na prastarych polskich Ziemiach Odzyskanych, przesyła zbierającej się w Paryżu Międzynarodowej organizacji, jednoczącej wszystkich myśliwych Wielkiej Rodziny Narodów Zjednoczonych, myśliwskie i braterskie pozdrowienia oraz życzenia owocnych obrad".

Przemówienie Kol. Prezesa Szareckiego przerywane było często żywiołowymi oklaskami.

Projekt depeszy do Marszałka Polski oraz do Conseil International de la Chasse zebrani przyjęli jednomyślnie.

Następnie powołano na asesorów Zgromadzenia kol. kol. inż. Kamienieckiego Feliksa, inż. Szymańskiego Bronisława, mgr. Madeyskiego Stanisława oraz Kałużę Jana.

Na sekretarzy kol. kol. Stelińskiego Stanisława i Nowaka Macieja.

Kol. Prezes Szarecki odczytał telefonogram od ob. Marszałka Polski Michała Żymierskiego treści następującej:

„Nie mogąc osobiście wziąć udziału w Walnym Zebraniu Polskiego Związku Łowieckiego w dniu 29. 6. 1947 r. w Opolu, przesyłam tą drogą najlepsze życzenia dla Waszego zebrania.

Przyjmując zaszczytny dla mnie protektorat nad Polskim Związkiem Łowieckim, miło mi jest zaznaczyć, że łowiectwo polskie nie jest jedynie pięknym sportem uprzywilejowanej grupy ludzi, ale jest ważnym czynnikiem szkolenia charakteru szerokich mas myśliwskich, wciągniętych w pozytywną pracę dla kraju.

Zwierzostan naszych ziem powinien zazębić się z planową gospodarką odrodzonej Polski, jako jedno z ogniw bogactwa naszego kraju w oparciu o zasady hodowlane. Życzę Wam Obywatele Delegaci pomyślnych obrad.

Darz Bór, Ministerstwo Obrony Narodowej

(—) *ŻYMIERSKI*
Marszałek Polski

Głos następnie zabrał kol. Cenkier Stanisław — V-Prezes Bytomskiej Rady Łowieckiej — w przemówieniu swym dając zarys historyczny Ziemi Śląskiej, jej zmagań z odwiecznym wrogiem germańskim i krwawych powstań, podkreślając przy tym fakt niemal symbolicznego znaczenia, jakie nabrało miasto Opole w czasie wszystkich wojen o wolność polskiego Ludu Śląskiego. Na zakończenie swego przemówienia kol. Cenkier wita zebranych na Ziemiach Odzyskanych myśliwych z całej Polski, życząc Zgromadzeniu jak najowocniejszych obrad.

Nacz. Ostrowski, reprezentant Ministerstwa Leśnictwa wyraził w imieniu Ministra, ob. Podedwornego życzenia Walnemu Zgromadzeniu owocnych obrad.

Jako gospodarz miejsca dzisiejszych obrad, Ob. Starosta pow. opolskiego, wygłosił również przemówienie powitalne, w którym wyraził radość z powodu wyboru Opola, jako miejsca obrad Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego życząc Zgromadzeniu pomyślnych obrad.

W dalszym ciągu kol. Prezes Szarecki odczytał listę zmarłych od dnia 16. 6. 1946 r. do chwili obecnej członków Polskiego Związku Łowieckiego, którą zebrani wysłuchali stojąc.

Porządek obrad przyjęto bez zastrzeżeń.

Po stwierdzeniu prawomocności Zgromadzenia przystąpiono do obrad według punktów porządku dziennego.

do 3. Protokół Walnego Zgromadzenia z dnia 16 czerwca 1946 r. przyjęto bez odczytywania, ponieważ był on umieszczony w numerze 3-cim „Łowca Polskiego" z 1946 r.

do 4. Przewodniczący Komitetu Wykonawczego, kol. Zbigniew Kowalski, odczytał sprawozdanie z działalności Komitetu Wykonawczego za okres od dn. 26. 6. 1946 r. do dn. 28. 6. 1947 r. (załącznik Nr 1), po czym otwarto dyskusję nad sprawami poruszonymi w sprawozdaniu.

Jako pierwszy głos zabrał kol. Mniszek Tchorznicki, uzupełniając sprawozdanie merytorycznymi poprawkami.

Kol. Patalong, delegat Pomorskiej Rady Łowieckiej — stawiał szczególny nacisk na sprawy wydawnictwa „Łowca Polskiego". Uważa on mianowicie, że Redakcja zbyt małą część pisma poświęca edukacji młodych myśliwych, co wobec obecnego braku lektury o charakterze fachowym — jest dość ważnym momentem. Dalej kol. Patalong stwierdza niesłuszność pobierania od członka pełnej składki w ciągu roku — bowiem opłacający pełną składkę ma prawo otrzymania wszystkich numerów „Łowca" — co nie jest aktualne ze względu na to, iż Redakcja stosuje ilość egzemplarzy do ilości członków w czasie składania numeru.

W odpowiedzi na powyższe zarzuty kol. Kowalski oświadcza co następuje: Redakcja „Łowca" nie może ograniczyć się do jednokierunkowej treści pisma, drukując tylko artykuły naukowe na poziomie młodych myśliwych. Takie stanowisko Redakcji wywołałoby niezadowolenie wśród innych prenumeratorów, doszukujących się w piśmie nie tylko suchych wykładów na tematy fachowe, lecz także beletrystyki łowieckiej.

Co do drukowania „Łowca Polskiego" „na zapas" — to jest w ilości przekraczającej znacznie faktyczny stan prenumeratorów w danym czasie — to sprawa jest zbyt ryzykowna dla szczupłych funduszów Wydawnictwa, aby mogła być aktualna.

Kol. Hałlas — delegat Warszawskiej Rady Łowieckiej — apeluje do Naczelnych Władz o uregulowanie sprawy wydawania pozwoleń na broń.

Kol. Prezes Szarecki, odpowiadając na powyższe, przypomniał, że przeżywamy obecnie okres organizacji ogólnopaństwowej na wszystkich odcinkach życia społecznego. W związku z tym sprawa wydawania pozwoleń nie przedstawia się jeszcze zadawalająco — choć jest jednym z najgłówniejszych starań Władz Naczelnych Związku. To samo tyczy się przydziału papieru potrzebnego na druk „Łowca". Bolączka ta, dotycząca nie tylko naszego wydawnictwa, jest wszystkim ogólnie znana i nie powinna podlegać dyskusji.

W formie wyjaśnienia do sprawy przynależności resortowej łowiectwa do Ministerstwa Leśnictwa kol. Mniszek Tchorznicki informuje, że Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych kompetencji tej zrzekło się. Sprawa ta nabierze jednak mocy prawnej dopiero po ukazaniu się dekretu.

Po wyjaśnieniu powyższych punktów sprawozdanie z działalności Komitetu Wykonawczego zostało przyjęte.

do 5. Sprawy finansowe: Wykonanie preliminarza budżetowego na r. 1946, Bilans na dz. 1. 5. 1947 r., preliminarz budżetowy na rok 1947 odczytał i zreferował kol. Mniszek Tchorznicki.

Kol. Tomasz Zan w imieniu i z upoważnienia Komisji Rewizyjnej odczytał protokół z przeprowadzonej rewizji ksiąg rachunkowych P.Z.Ł., który przyjęto przez aklamację.

Na wniosek kolegi Radlińskiego (Lublin) Władzom Wykonawczym P. Z. Ł. udzielono absolutorium z podziękowaniem.

do 6. Kol. Prezes Szarecki. wobec zrzeczenia się przez kol. Gieysztora mandatu Vice-Prezesa P. Z. Ł. — proponuje nadanie Mu godności członka honorowego, co zebrani powstawszy przyjęli jednogłośnie. Również jednogłośnie przyjęto nadanie tej godności kolegom: Prof. Szaferowi Władysławowi, oraz Prof. Ziembickiemu Witoldowi.

Kol. Kowalski informuje zebranych, iż mandatu członka Rady Naczelnej zrzekł się również — po 48 latach pracy na terenie Związku — kolega Knothe Herman. Ponieważ najwyższą godność — członkostwo honorowe kolega Knothe już piastuje, kolega Kowalski stawia wniosek wystosowania pisma, w którym złożone Mu będzie podziękowanie za ofiarną pracę od całego polskiego łowiectwa.

Powyższy wniosek zebrani przyjęli jednogłośnie.

Dalej Walne Zgromadzenie przyjęło przez aklamację kandydatury kol. kol. Jaroszyńskiego Maurycego — na przewodniczącego Sądu Łowieckiego przy Radzie Naczelnej oraz Prof. Edwarda Schechtla — na członka Kapituły Odznaczeń Łowieckich.

Na wolne miejsce w Radzie Naczelnej zostali wybrani:

Na Wiceprezesów: kol. Generał Mossor Stefan, kol. Dyr. Głowacki Gabriel oraz kol. Dyr. Niezabitowski Mieczysław.

Na członków Rady Naczelnej: kol. Płk. Karwowski Janusz, kol. Minecki Apolinary płk., oraz kol. Pł. Łętowski Stanisław.

Wylosowani z kolejności starszeństwa kol. kol. Zabłocki Zbigniew i Ostrowski Józef wybrani zostali z powrotem na członków Rady Naczelnej.

do 7. Wobec nieznajomości przygotowanego przez Komisję Główną Prawniczą i przedyskutowanego przez Radę Naczelną materiału z jednej strony — a ważnością sprawy uchwalenia nowej Ustawy Łowieckiej z drugiej, zebrani większością głosów postanowili punkt ten zdjąć z porządku dzisiejszych obrad. Sprawa wymaga głębokiego zastanowienia się i uprzedniego przygotowania. to też doceniając powagę zadania, zebrani postanowili wyznaczyć nadzwyczajne Walne Zgromadzenie poświęcone specjalnie uchwaleniu ostatecznej redakcji noweli do Ustawy Łowieckiej.

Termin Zgromadzenia ustalono na połowę października r. b. w Warszawie. Przed tym terminem Biuro Rady Naczelnej roześle przereda-

gowany przez Komisję Prawniczą według wskazówek Rady Naczelnej ostatni projekt noweli Ustawy w ilości odpowiadającej Radom Powiatowym wszystkich województw tak, aby jak najszersze masy myśliwych miały możność wypowiedzenia swych uwag w interesie polskiego łowiectwa.

do 8. Projekt zmian w Statucie P. Z. Ł. uzgodniony przez Radę Naczelną na posiedzeniu w dniu 27 b. r. zreferował kol. Kowalski, poddając poszczególne paragrafy Statutu pod dyskusję.

Ożywioną dyskusję wywołała zmiana Statutu na temat członków Związku zwyczajnych i nadzwyczajnych. W wyniku głosowania większość zebranych opowiedziała się za zniesieniem tego rozgraniczenia, a więc za przyjmowaniem nowych członków — po dokładnym przeegzaminowaniu ich — w poczet członków zwyczajnych. Po wejściu w życie nowego Statutu dotychczasowi członkowie nadzwyczajni, po złożeniu egzaminu, przyjęci zostaną w poczet członków zwyczajnych z rocznym terminem od chwili wejścia w życie nowego Statutu.

do 9. Sprawę ustalenia składki członkowskiej na rok 1948 przekazano Nadzwyczajnemu Walnemu Zgromadzeniu w miesiącu październiku r. b. Kol Mniszek Tchorznicki w imieniu Komitetu Wykonawczego zwrócił się z apelem o uchwalenie specjalnej składki od każdego członka po 100 zł. na Fundusz Odbudowy Siedziby. Uchwałę powyższą przyjęto.

do 10. Prezes Spółdzielni „Jedność Łowiecka", kol. inż. Karol Rumiński, odczytał sprawozdanie z działalności tejże Spółdzielni za czas 1946 i 1947 r., sprawozdanie finansowe oraz plany dalszej działalności (Vide załącznik Nr. 4) co przyjęte zostało przez zebranych do wiadomości.

Wniosek o wyrażenie podziękowania Zarządowi Spółdzielni „Jedność Łowiecka" za zorganizowanie Spółdzielni przyjęto aplauzem.

do 11. Wolnych wniosków w przepisanym terminie nie zgłoszono.

Kol. Dr Podgórny Jan postawił wniosek podziękowania Władzom Naczelnym P. Z. Ł. — w szczególności Prezesowi — za trud i pracę poniesioną, co przyjęte zostało przez obecnych jednogłośnie.

Złożono również podziękowanie koledze Madeyskiemu za niemały trud, jaki poniósł przy organizowaniu Zjazdu.

Kol. Prezes Szarecki, zamykając o godz. 15.30 posiedzenie, składa serdeczne podziękowanie wszystkim obecnym za uczestniczenie w Zgromadzeniu, a zwracając się do Ob. Starosty, podziękował Mu za użyczenie sali posiedzeń w Starostwie na dzisiejszy Zjazd.

Odśpiewanie Roty „Nie rzucim ziemi, skąd nasz Ród"... zakończyło tę uroczystą w życiu łowieckim chwilę Walnego Zgromadzenia i Zjazdu polskich myśliwych na Ziemiach wróconych Macierzy.

Sekretarze:	Przewodniczący:
Stanisław Steliński	*gen. prof. dr Bolesław Szarecki*
Maciej Nowak	

Załącznik Nr. 1

SPRAWOZDANIE

Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego Polskiego Związku Łowieckiego

za okres od 24 czerwca 1946 r. do 28 czerwca 1947 r.

Na wstępie chciałbym podkreślić, że dzisiejsze Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego, stosownie do uchwały Rady Naczelnej, odbywa się po raz pierwszy w terenie. Gości nas dzisiaj Ziemia Opolska, która wiele razy dokumentowała polskość i nierozerwalność tych starych prapolskich ziem z Macierzą. Goszczą nas myśliwi śląscy, którzy swą wysoką klasę łowiecką wielokrotnie wykazywali, a to zarówno w hodowli, jak i w myślistwie.

I. Zarząd Polskiego Związku Łowieckiego.

W składzie Rady Naczelnej zaszły w okresie sprawozdawczym następując zmiany: wyjechał z Polski Wiceprezes Polskiego Związku Łowieckiego, generał Witold Nowodworski, ustępując tym samym ze swego stanowiska. Prezesem Warszawskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej został wybrany kol. mjr. Włodzimierz Kierwiński. Również zawiadomił o swym ustąpieniu, wobec służbowego przeniesienia do Poznania, Prezes Wojewódzkiej Rady Łowieckiej Pomorza Zachodniego kol. Szczęsny Chełkowski, na miejsce jego wybrano kol. Macieja Gabałę. Zrzekł się też mandatu Przewodniczącego Sądu Łowieckiego kol. K. Świderski.

Wobec coraz poważniej rozwijającej się pracy w Komisjach działających przy Komitecie Wykonawczym, powołano szereg podobnych Komisji przy Radach Wojewódzkich i Powiatowych. W zależności od tego wprowadzono nomenklaturę następującą: Komisje Główne przy Komitecie Wykonawczym, Komisje Wojewódzkie przy Wojewódzkich Radach Łowieckich, Podkomisje Powiatowe przy Powiatowych Radach Łowieckich.

Przewodnictwo Komisji Głównych przedstawia się obecnie następująco:

1. Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego — Przewodniczący: mjr. Stefan Sztukowski, W-przewodniczący: mjr. Jan Pietraszkiewicz.
2. Komisja Główna Kynologiczna — Przewodniczący: Zdzisław Klawe.
3. Komisja Główna Muzealna i Pokazów — Przewodniczący: Mieczysław Mniszek Tchorznicki.

4. Komisja Główna Propagandowa — Przewodniczący: Tomasz Zan.
5. Komisja Główna Wydawnicza — Przewodniczący: Andrzej Śliwiński.
6. Komisja Główna Walki z Kłusownictwem — Przewodniczący: Stanisław Steliński.
7. Komisja Główna do Spraw Młodzieżowych — Przewodniczący: Rudolf Herczka.
8. Komisja Główna Prawnicza — Przewodniczący: Aleksander Tallen Wilczewski.
9. Komisja Główna Towarzyska — Przewodniczący: Zenon Herczka.
10. Komisja Główna dla Kontaktów Zagranicznych — Przewodniczący: Nowicki Jerzy.
11. Komisja Główna Organizacji Stowarzyszeń Łowieckich — Przewodniczący: inż. Władysław Łatkiewicz.
12. Komitet Budowy Domu Łowieckiego — Przewodniczący: Józef Skrzypek.

Sprawę powyższą, poza stroną formalną, poruszamy z tego powodu, iż wobec powagi zadań, jakie spadają na Komisje Główne, zapoczątkowaliśmy raz w miesiącu wspólne zebrania Komitetu Wykonawczego wraz z Przewodniczącymi Komisji Głównych. Dało to pozytywne rezultaty współpracy i obecnie prosimy Walne Zgromadzenie o zaakceptowanie wniosku Rady Naczelnej o zmianę statutu, która wprowadza do Rady Naczelnej z urzędu przewodniczących 8-miu najpoważniejszych Komisji Głównych, jako członków Rady Naczelnej. W razie zaakceptowania tej poprawki, Komitet Wykonawczy proponuje powołać przewodniczących następujących Komisji Głównych na członków Rady Naczelnej:

1. Komisji Głównej Strzelectwa Myśliwskiego, 2. Kynologicznej, 3. Propagandowej, 4. dla Kontaktów Zagranicznych, 5. Wydawniczej, 6. Walki z Kłusownictwem, 7. Muzealnej i Pokazów, 8) Prawniczej.

Nadto wzorem lat przedwojennych powołano następujące sekcje, których istnienie staje się obecnie koniecznością, mianowicie:

1. Sekcja ochrony i hodowli jeleni, 2. Sekcja ochrony łosia, 3. Sekcja ochrony rzadkich ptaków łownych, 4. Sekcja ochrony niedźwiedzia.

Sądzę, że uzasadniać bliżej konieczności powstania tych sekcji nie należy, chyba żeby podnieść, iż do tej chwili nie została jeszcze ustalona ilość łosi w Polsce, żyjących w trzech zaledwie skupiskach, a mianowicie: Białowieża, Rajgród, Gołdap.

II. Biuro Związku.

Z dniem 1 maja r. b. Komitet Wykonawczy przystąpił do przebudowy struktury Biura Związku Łowieckiego. Nastąpiło to z dwóch względów: rosnącej coraz bardziej ilości spraw bieżących i niedomagań administracyjnych „Łowca Polskiego". Zdecydowaliśmy więc zaangażować stałego dyrektora Biura, poświęcającego cały swój czas dla spraw Związku. Dyrektor Biura będzie równocześnie pełnił funkcję administracji „Łowca Polskiego". Dyrektorem Biura Polskiego Związku Łowieckiego został mianowany kol. M. Mniszek Tchorznicki. Sekretarką jest p. Ścisłowska Anna, maszynistką — vacat, buchalterem Prażmo Janusz, sekretarką „Łowca Polskiego" Janina Stalkowska, ekspedientką Stanisława Bartusiowa, woźnego posiadamy wspólnie z Warszawską Wojewódzką Radą Łowiecką.

Biura Polskiego Związku Łowieckiego i „Łowca Polskiego" mieszczą się przy ul. Żulińskiego 6 i urzędują od godz. 10-tej do 17-tej. Został założony telefon Nr. 8.68.79. Korespondencji wpłynęło w okresie sprawozdawczym 540, wyszło 494, korespondencji przebitkowej 920. Do Redakcji „Łowca Polskiego" wpłynęło 760, wyszło 629 pism.

Posiedzeń Komitetu Wykonawczego odbyło się w okresie sprawozdawczym 24. Posiedzeń Komisji Głównych 14.

Wydrukowano legitymacji członkowskich 20.000 normalnych i 10.000 sztuk ulgowych.

W terenie wizytowano i inspekcjonowano następujące Rady Wojewódzkie: Jelenia Góra, Sopot, Kraków. Rzeszów, Poznań, Katowice, Toruń, Szczecin.

III. Finanse Polskiego Związku Łowieckiego.

Na rachunkach Polskiego Związku Łowieckiego i „Łowca Polskiego" na dzień 28.6.1947 r. notowano sumy:

1.	Konto P. K. O. Nr. I-161	— zł. 285.017
2.	Konto P. K. O. Nr. L-1077	— zł. 484.463
3.	Konto P. K. O. Nr. 737	— zł. 210.290
4.	Kasa	— zł. 311.180
5.	Inne: pożyczka dla Spółdz.	— zł. 375.000
	Wpłacono à/c wydawnictw	— zł. 300.000
	Łącznie	— zł. 1.965.950

Komitet Wykonawczy postanowił, dla zabezpieczenia się przed ogólną zwyżką cen, zaopatrzyć się w artykuły budowlane dla siedziby łowieckiej. Po otrzymaniu odpowiednich przydziałów zakupiono ok. 300m² klepki dębowej, oraz ok. 30 m² budulca. Artykuły żelazne do tegoż celu zakupiła Warszawska Wojewódzka Rada Łowiecka. Artykuły powyższe otrzymaliśmy po cenach niskich, przed zwyżką cen i transportu, co podnosi wartość obecnie o 60 — 70%.

Również papier dla wydawnictw, będących w druku i wydanych w ostatniej chwili, otrzymaliśmy przed zwyżką cen, która jak wiadomo wynosi 200%.

Składki od Rad Wojewódzkich wpływają dobrze, ale b. nieregularnie.

IV. Sprawy zewnętrzne Polskiego Związku Łowieckiego.

W pierwszym rzędzie podać musimy audiencję u Prezydenta R. P. Ob. Bolesława Bieruta, na której występowali w imieniu Polskiego Związku Łowieckiego: WPrezes Generał Witold Nowodworski, Przewodniczący Komitetu Wykonawczego, Zbigniew Kowalski, oraz członek Komitetu Wykonawczego, Zbigniew Zabłocki. Audiencja trwała około godziny i odbyła się w atmosferze dla łowiectwa przychylnej. Odpowiedni memoriał został Ob. Prezydentowi złożony.

Następną niemniej ważną sprawą była audiencja u Marszałka Polski Michała Żymierskiego. W wyniku prośby złożonej przez delegację Ob. Marszałek przyjął protektorat nad Polskim Związkiem Łowieckim, interesując się przy tym całym szeregiem zagadnień, specjalnie wydawaniem „Łowca" i kłusownictwem.

Z inicjatywy Polskiego Związku Łowieckiego odbyła się międzyministerjalna konferencja w C. U. P.-ie w sprawie zwalczania kłusownictwa. Najpoważniejszymi

jej rezultatami było oświadczenie przedstawicieli Ministerstwa Obrony Narodowej, że wszelkie sprawy o kłusownictwo wojskowe należy przesyłać bezpośrednio do odpowiednich rejonowych prokuratorów wojskowych. Odpowiedni memoriał o zwalczaniu kłusownictwa został złożony do C. U. P. W konferencji brały udział Ministerstwa: Ziem Odzyskanych, Bezpieczeństwa Publicznego, Leśnictwa, Rolnictwa i Reform Rolnych, Obrony Narodowej, oraz Polski Związek Łowiecki.

Conseil International de la Chasse w Paryżu, na podstawie nawiązanej przez nas korespondencji, zaprosił Polski Związek Łowiecki do wzięcia udziału w zjeździe C. I. C. w Paryżu w czerwcu b. r. Po porozumieniu się z Ministerstwem Spraw Zagranicznych zdecydowaliśmy delegować na zjazd WPrezesa Zw. Łowieckiego kol. Janusza Regulskiego, oraz WPrzewodniczącego Komitetu Wykonawczego kol. Aleksandra Tallen Wilczewskiego. Nawiązanie z powrotem tego kontaktu z zagranicą jest dla Związku ze wszech miar korzystne.

Delegaci nasi na C. I. C. wyjechali w dniu 23 b.m. i stosownie do uchwały Rady Naczelnej, zgłoszą wniosek o zwołanie jednego z najbliższych zjazdów C. I. C. do Warszawy.

Wystąpiono do Międzynar. Zw. Kynologicznego, Fédération Cynologiquqe International w Brukseli, o przyznanie Komisji Głównej Kynologicznej Polskiego Związku Łowieckiego praw Kennel Klubu na Polskę. Uproszono kol. Janusza Regulskiego o załatwienie tej sprawy podczas wyjazdu zagranicę,gdyż kol. Regulski odwiedzi również przejazdem Belgię, gdzie mieści się siedziba Federacji.

Do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego wystąpiono z memoriałem w sprawie uregulowania tytułów własności broni myśliwskiej, na którą dany myśliwy otrzymał zezwolenie. Zaproponowano, aby w razie śmierci właściciela posiadanej legalnie broni, lub cofnięcia myśliwemu pozwolenia, wolno było taką broń sprzedać przez Spółdzielnię „Jedność Łowiecka“ upoważnionemu przez Urząd Bezpieczeństwa do zakupu. Poza tym uzgodniono z Ministerstwem Bezpieczeństwa Publicznego, że pozwolenia na broń będą wydawane myśliwym na okres jednego roku, oraz że broń śrutowa wydawana będzie bez ograniczeń.

Do Ministerstwa Obrony Narodowej wystąpiono z wnioskiem, aby pozwolenia na broń myśliwską wojskowym odpowiednie władze wydawały wyłącznie posiadaczom kart łowieckich, lub surogatu tych kart t.p. zaświadczeń Polskiego Związku Łowieckiego.

Spowodowano wycofanie przez Centralę Skór Surowych cennika, zawierającego ceny skór zimowych sarn, jeleni oraz rysi.

Zostały wydane przepisy normujące wydawanie zaświadczeń o pochodzeniu ubitej zwierzyny łownej. Zaświadczenia takie wydają: Ministerstwo Leśnictwa, Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Polski Związek Łowiecki przez Łowczych Powiatowych, jak również kółka łowieckie, rejestrowane w Polskim Związku Łowieckim.

Złożono memoriał w Ministerstwie Aprowizacji w sprawie unormowania ustawowego handlu i obrotu dziczyzną.

Nawiązano kontakt wymiany wydawnictw ze Związkiem Myśliwych Z. S. R. R.

Zwrócono się do Ob. Ministra Przemysłu i Handlu o niepodwyższanie cen naboi myśliwskich.

W Ministerstwie Leśnictwa odbywano periodyczne konferencje dla uzgodnienia spraw bieżących.

W ostatniej chwili odbyła się konferencja w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych w sprawie przynależności łowiectwa, na której ostatecznie ustalono, że łowiectwo należeć będzie do Ministerstwa Leśnictwa.

V. Sprawy wewnętrzne Polskiego Związku Łowieckiego.

Stan Polskiego Związku Łowieckiego w terenie przedstawia załącznik Nr. 2.

Załatwiono definitywnie sprawę znaczka łowieckiego dla członków Polskiego Związku Łowieckiego, zamawiając w Poznaniu znaczek u kol. W. Bląka za cenę zł. 130.— za sztukę. Znaczek sprzedawany jest członkom Polskiego Związku Łowieckiego po zł. 150.—. Inne zebrane oferty były droższe. Wzór znaczka przedkładamy. Dla medali i złomów zasługi łowieckiej zostały wykonane matryce i zamówiono odpowiednią ich ilość do dekoracji zasłużonych działaczy P. Z. Ł. i innych.

Cena złomu wynosi zł. 500.— za sztukę, złotych medali zasługi łow. 500.— zł., srebrnych medali zasługi łow. 350.— zł., bronzowych medali zasługi łow. 200 zł.

Jeżeli chodzi o odznaczenia łowieckie, to Kapituła Odznaczeń przyznała dość dużo odznaczeń, bo i pracy w terenie wykonano nie mało, a mianowicie:

Złomów 4, Złotych Medali Zasługi łow. 28, Srebrnych 42, Bronzowych 19.

Tu chcę specjalnie podkreślić odznaczenia nadane gajowym i funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej i U. B. za walkę z kłusownictwem, nieraz kończącą się rozlewem własnej krwi. Obniżono składki członkowskie dla funkcjonariuszy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego i Milicji Obywatelskiej do zł. 200.—. O akceptację tej decyzji, popartej przez Naczelną Radę, prosimy Walne Zgromadzenie.

VI. Komisje Główne.

1. *Komisja Główna Strzelectwa Myśliwskiego* wystąpiła do Państwowego Instytutu Wychowania Fizycznego i Centralnego Urzędu Planowania o przydział broni dla strzelców stendowych. Również sporządzono plany stendu na Szczęśliwicach i otrzymano ją w użytkowanie. Na XII Olimpiadę w Londynie zgłoszono, w zależności od otrzymania pomocy technicznej, udział polskich strzelców Kol. mjr. Stefan Sztukowski został zaproszony do Komitetu Olimpijskiego.

W okresie sprawozdawczym odbyły się zawody strzeleckie regionalne w Szczecinie, oraz w Krotoszynie i Toruniu. W przygotowaniu znajduje się regulamin strzelectwa myśliwskiego według norm przyjętych na forum międzynarodowym i krajowym.

2. *Komisja Główna Kynologiczna.* — Utworzono komplet sędziów dla prób polowych i wystaw psów myśliwskich w składzie poszczególnych działów wystawy: Airedale terrjery — T. Marchlewski, Kraków; charty — B. Przychodźko, Łódź; Fox-Terriery — T. Marchlewski, asystent B. Przychodźko; jamniki — sędzia T. Marchlewski, asystent B. Przychodźko; pointery—sędzia St. Czerski, B. Przychodźko; settery Ang.. Irl., Szkoc. — B. Przychodźko; wyżły kontynentalne — sędzia B. Przychodźko, asystent R. Kazimierczak (Inowrocław), T. Metzig (Olsztyn), W. Przybyła (Inowrocław).

W dziale prób i konkursów: wyżły kontynentalne— sędziowie: R. Kazimierczak, T. Marchlewski, W. Przybyła, T. Metzig, B. Przychodźko, J. Robel (Kraków), J. Dylewski (Częstochowa), H. Knothe (na woj. Mazurskie).

Wyżły ras angielskich — sędziowie St. Czerski, J. Dylewski, T. Marchlewski, B. Przychodźko, H. Knothe.

Odbyły się pierwsze wiosenne próby polowe psów młodych w Inowrocławiu. Zgłoszono 18 psów, stanęło do prób 16. Materiał okazał się dobry. Menerzy na wysokości zadania. Polski Związek Łowiecki przyznał nagrody w postaci srebrnej plakiety i 150 ładunków śrutowych. Na próbach reprezentował P. Z. Ł. kol. Zdzisław Klawe. Przyznano Komisji Kynologicznej przy Wojewódzkiej Radzie Łowieckiej w Łodzi zł. 10.000 jako subsydium — oraz 2 pointry szczeniaki na zapoczątkowanie hodowli wojewódzkiej, na którą opodatkowali się członkowie Polskiego Związku Łowieckiego w Województwie Łódzkim po zł. 1.000 od osoby, stwarzając 2 stacje treningowe hodowlane w Zieleńcu i Nadl. Kutno. Treserów posiada województwo łódzkie 4-ch.

Również 20.000 zł. przyznano Komisji Kynologicznej Pomorskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej na urządzenie stacji treningowej wyżłów, łącznie z Konsumem Milicji Obywatelskiej, w majątku Bielice pod Bydgoszczą, gdzie znajduje się wzorowo urządzona ferma psia. Treserów posiada województwo Pomorskie 5-u.

Postanowiono utworzyć dla Województwa Warszawskiego stację treningowo-hodowlaną wyżła w Hubertówce pod Otwockiem (włas. Otwockiego Kółka Myśliwskiego im. św. Huberta).

Sprowadzono trzy psy pointery ze Szwecji.

Zbierane są materiały do jesiennych prób polowych ogólno-polskich, oraz projektowane jest urządzenie z próbami wystawy psa myśliwskiego.

Wydrukowano dyplomy dla nagrodzonych na próbach i wystawach psów myśliwskich.

Psy w Poznańskim w dużej ilości (215 sztuk) nie są rejestrowane. Również ośrodek szkoleniowy psa w Goraju (Ministerstwo Leśnictwa) rejestruje psy w oddzielnej księdze, o uzgodnienie czego wystąpiliśmy.

Wojewódzkie Rady Łowieckie Poznań, Sopot, Radom, Lublin, Rzeszów nie zajęły się jeszcze organizacją Komisji. W organizacji są Komisje w Jeleniej Górze i Olsztynie.

Województwo Dąbrowsko Śląskie posiada 3 treserów.

3. Komisja Główna Muzealna otrzymała poważny materiał z Dolnego Śląska, który stanowić będzie początek eksponatów. Oczekujemy na pozwolenie przesłania zbiorów do Warszawy.

Poza tym zakupiono: 2 antyczne strzelby oraz komplet „Łowca Małopolskiego". Po ś. p. Bodakiewiczu, Łowczym Kieleckim, otrzymaliśmy komplet „Łowca Polskiego", zaś po ś. p. Generale Suszyńskim — trofea myśliwskie.

Apelujemy o współdziałanie Rad w zbiorach dla tworzącego się Muzeum Łowiectwa.

4. Komisja Główna Propagandowa. — W Ministerstwie Obrony Narodowej odbył się pierwszy z cyklu 3-ch wykładów o łowiectwie, wygłoszony przez kol. Tomasza Zana. Obecnych było przeszło 2.000 osób. Zainteresowanie sprawami łowiectwa wykazano w czasie odczytu bardzo duże. Taki sam wykład odbył się w Ministerstwie Aprowizacji. W gazetach codziennych ukazał się szereg artykułów o łowiectwie. Rozesłano broszurę propagandową „Dlaczego mamy chronić zwierzynę łowną" do szeregu instytucji.

Podkreślić musimy również wydanie przez Komisję Propagandową w Bytomiu doskonałego plakatu o ochronie łowiectwa.

5. Komisja Główna Wydawnicza. — W roku sprawozdawczym, przy zasiłku Ministerstw Oświaty i Rolnictwa, oraz Spółdzielni „Jedność Łowiecka" Polski Związek Łowiecki wydał następujące prace łowieckie:

1. „Dlaczego mamy chronić zwierzynę łowną" — M. Mniszek Tchorznicki.
2. „Oologia ptaków łownych" — M. Mniszek Tchorznicki.
3. „Podstawy Łowiectwa" — Józef Gieysztor.
4. „Bezpieczeństwo na polowaniu i obchodzenie się z bronią" — Zb. Kowalski.
5. „Dziennik myśliwski" — Zb. Kowalski.
6. „Dubeltówka śrutowa, nabój i strzelanie" — płk. Downar Zapolski.

Poza tym Spółdzielnia „Las" sygnalizuje wydanie pracy inż. Krawczyńskiego „Łowiectwo", zaś księgarnie wydały 7 książek związanych z łowiectwem.

6. Komisja Główna do Walki z kłusownictwem — wydała szereg zarządzeń do Rad Wojewódzkich o kontrolę sklepów i restauracji. W Warszawie akcja ta dała dobre rezultaty, np. firmie Tomczyk w miesiącu marcu odebrano 60 kuropatw. Sprawę skierowano do sądu, oraz do Izby Przemysłowo Handlowej. Wysłano okólnik do Izb Przemysłowo Handlowych i Zrzeszeń Przemysłu Gastronomicznego dla rozprowadzenia między kupców i restauratorów o czasach ochronnych zwierzyny łownej i okresie dozwalającym na handel nią i podawanie jej w restauracjach. Wypłacono szereg nagród osobom współdziałającym w walce z kłusownictwem, głównie gajowym w wysokości po zł. 3.000 w każdym wypadku.

7. Komitet Budowy Domu Łowieckiego — Spisano umowę z właścicielem domu przy ul. Nowy Świat 35 na odbudowę 7-pokojowego — w tym duża sala — lokalu Polskiego Związku Łowieckiego i zawarto kontrakt na 2 lata. Sporządzono zatwierdzone plany przez kol. Borysa Zienserlinga, które przedstawiamy zebranym kolegom. Zawarto umowę o nadzór nad budową z inż. architektem Makcysiem. O zakupionych materiałach budowlanych już mówiliśmy. Do prac przystąpiono, liczymy, że na dzień 1 września lokal będzie gotowy. Uzyskano pożyczkę z K.K. O. m. st. Warszawy w wysokości 1.300.000. Hipoteki na zabezpieczenie kaucji hipotecznej udzielił kol. Tallen Wilczewski, za co składany mu podziękowanie.

8. Komisja Główna Prawnicza — przygotowała projekty ustaw łowieckich oraz zmiany statutu. Odbyła konferencję z Ministrem Jaroszyńskim w sprawie akcji przejęcia przez samorząd gospodarczy i społeczny części funkcji wykonawczych. W naszym wypadku dotyczyło to wydawania kart łowieckich. rejestracji obwodów i t. d.

9. Komisja Główna Towarzyska — Komisję tą zawiązano w związku z uzyskaniem lokalu przy ul. Żulińskiego. Komisja ma za zadanie zorganizować jak dawniej życie towarzyskie P. Z. Ł. Zaznaczamy, że nie chodzi tu bynajmniej o klub, pokera lub kosztowne alkohole. Grunt towarzyski Związku pozwoli przez wymianę myśli spotykających się myśliwych, skromny wspólny posiłek czy towarzyski bridge, zadzierzgnąć

bliższe węzły w rodzinie łowieckiej, a poza tym przez wzajemne poznanie się wciągnąć do pracy nowych i chętnych ludzi, których w instytucjach społecznych nie ma przecież nigdy za dużo.

Zorganizowano już kilka spotkań myśliwych na terenie Warszawy, zapraszając na nie również kolegów z terenu. Odbyło się pożegnanie generała Nowodworskiego, W.-Prezesa Polskiego Związku Łowieckiego. W Częstochowie urządzony przez miejscowy Oddział Polskiego Związku Łowieckiego bal na pomoc zimową, dał 100.000 złotych. Odbyły się obchody św. Huberta w Obornikach i Ostrowiu.

10. Komitet Redakcyjny. — Wznowiono działalność Komitetu Redakcyjnego wydawnictwa „Łowiec Polski", którego skład osobowy przedstawia się jak niżej:

Członkowie wchodzący do Komitetu z urzędu:

Redaktor „Łowca Polskiego" jako Przewodniczący

Przewodniczący Komitetu Wykonawczego P. Z. Ł.,

Przewodniczący Komisji Głównej Propagandowej.

Członkowie Komitetu z wyboru:

Krzywoszewski Stefan — sprawy literacko - artystyczne,

Skrzypek Józef — sprawy fachowo - łowieckie i zrzeszeń myśliwskich,

Śliwiński Andrzej — sprawy ubezpieczeń, odszkodowań i akcji wydawniczej.

Czerski Stanisław — sprawy strzelectwa myśliwsk.,

Klawe Zdzisław — sprawy hodowli psów,

Mniszek-Tchorznicki Mieczysław — sprawy działalności P. Z. Ł. i jego organów,

Zabłocki Tądeusz Zbigniew — Sekretarz Komitetu.

8. Sprawy różne.

a. Film. — Z inicjatywy i przy współudziale Ministerstwa Leśnictwa oraz Polskiego Związku Łowieckiego nakręcono pierwszy normalnotaśmowy średniometrażowy film łowiecki w Białowieży. W przygotowaniu jest realizacja filmu łowieckiego długometrażowego p. t. „Rok Myśliwego". Scenariusz jest już złożony i prace nad filmem zaczęte.

b. Broń. — W wyniku starań Polskiego Związku Łowieckiego nadeszło drogą rewindykacji z Niemiec 55.000 sztuk broni. Broń jest złożona w Ministerstwie Leśnictwa i 2005 sztuk otrzymała do rozsprzedaży Spółdzielnia „Jedność Łowiecka". Większość tej broni jest znakowana na proch dymny, ale jest to, zdaje się, lekki sabotaż eksportowy Niemiec.

Polski Związek Łowiecki odbył konferencję w Ministerstwie Przemysłu w sprawie produkcji broni.

c. Uczczenie pamięci W. W. Garczyńskiego. — Postanowiono wydać jego pracę p. t. „Nowoczesne łowiectwo" oraz nazwać salę główną w odbudowującym się lokalu P. Z. Ł. jego imieniem.

d. Ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej. — W razie wprowadzenia przymusowego ubezpieczenia od odpowiedzialności cywilnej członków P. Z. Ł. w Pastw. Zakładzie Ubezpieczeń Wzajemnych, liczyłby on około 200 zł. premji od myśliwego przy odpowiedzialności za postrzelenie jednej osoby w wysokości do 100.000 zł., kilku osób do 200.000 zł., zaś za szkody w ruchomościach osób trzecich do 20.000 złotych. Polisy byłyby wystawiane przez Wojewódzkie Rady Łowieckie za odpowiednią prowizją Zakładu.

9. Łowiec Polski.

Po okresie wyborczym i związanym z tym okresem brakiem papieru, jak również czasu na prace poboczne w drukarniach, następnie po wstrzymaniu transportów z papierem u schyłku zimy z powodu zasp, doszliśmy wreszcie do unormowania wydawania pisma. Pierwszy numer roku 1947 wyszedł w marcu, drugi jest rozsyłany, trzeci ukończymy na koniec czerwca.

Co do wysyłki, zdecydowaliśmy się wysyłać „Łowca" bezpośrednio do Rad Wojewódzkich i Powiatowych, gdyż znikanie setek egzemplarzy na poczcie doprowadzało do rozpaczy administrację i wywoływało zrozumiały ferment w terenie. Okładkę musieliśmy dać ostatnio zwykłą, nie na kartonie, a to ze względu na kompletny brak odpowiedniego materiału.

Obecnie, wobec objęcia jednym kierownictwem administracji Polskiego Związku Łowieckiego i „Łowca Polskiego" oraz powołania Komitetu Redakcyjnego, jesteśmy przekonani, że niedokładności techniczne pisma i inne znikną zupełnie. W każdym razie przepraszamy kolegów za te niedociągnięcia naszego organu. Zechcą nam koledzy jednak uwierzyć, że w Warszawie warunki wydawnicze są specjalnie trudne. Jednak obiecane nam przez wysokiego Protektora, Marszałka Żymierskiego wybitne poparcie „Łowca" da nam możność podniesienia tego wydawnictwa na wyższy poziom.

Konkurs na nowelkę czy opowiadanie myśliwskie wywołał duże zainteresowanie; Komitet Redakcyjny otrzymał 26 prac, z których trzy nagrodzono, a 7 zalecono do druku.

10. Program najbliższych prac w ciągu roku 1947/48.

1. Przeprowadzenie nowej ustawy łowieckiej. 2. Urządzenie pokazów trofeów łowieckich w Warszawie. 3. Wystawa fotografii łowieckich, na którą złoży się 350 prac kol. Puchalskiego. 4. Wydanie kalendarza myśliwskiego na rok 1948. 5. Ułożenie i wydanie regulaminu strzelectwa myśliwskiego. 6. Wydanie plakatu dla wsi o ochronie łowiectwa i zwierzyny łownej. 7. Zatwierdzenie i wprowadzenie w życie zaktualizowanego statutu P. Z. Ł. 8. Ukończenie odbudowy siedziby łowieckiej w Warszawie. 9. Pokaz psów myśliwskich i ogólnopolskie próby jesienne. 10. Sprawa najważniejsza — unormowanie wydawania pozwoleń na broń w ilościach odpowiadających potrzebom. 11. Obniżenie tenut dzierżawnych w Lasach Państwowych.

Na zakończenie parę słów o zwierzostanach w formie oceny stopniowej (załącznik Nr. 3): 1 = zły, 2 = słaby, 3 = średni, 4 — dobry, 5 — bardzo dobry. Liczby ilościowe — w odniesieniu do żubra, łosia, kozicy, muflona.

Raporty z terenu mówią, że tegoroczna zima nie wyrządziła tak katastrofalnych strat w kuropatwach, jak przypuszczaliśmy. Również i powódź nie wyniszczyła zwierzostanów, jak to było sygnalizowane z okolic dotkniętych tą klęską.

Nasilenie kłusownictwa nieco osłabło w centralnych województwach. Na zachodzie jest jeszcze nie dobrze.

Z. KOWALSKI

Załącznik 2.

Stan P. Z. Ł. w terenie

Województwo	Ilość członków w 1939	Ilość członków w 1946	Ilość członków w 1947	Wydano zaświad. na broń	Otrzym. pozwol. na broń	Ilość łowcz. powiat.	Podłowczych	Kół myśl.	Za rejestr. psów	Komisje kynol.	Komisje strzel.	Komisje prop.
1. Białystok .	685	660	786	354	350	11	21	12	1	—	—	tak
2. Bytom . .	520	597	2.330	290	62		93	13	25	tak	tak	—
3. Dolny Śląsk .	—	723	2.500	?	220	22		15	—	—	—	—
4. Kraków . .	500	1.519	1.534	544	2	15	67	5	—	—	—	—
5. Lublin . .	1.083	736	?	?	?	?	?	?	—	—	—	—
6. Łódź . . .	385	1.734	1.990	748	375	15	157	7	—	tak	tak	—
7. Mazury . .	—	304	459	459	?	13	?	?	—	tak	tak	—
8. Pomorze .	1.574	2.123	2.749	?	800	18	86	17	50	tak	tak	—
9. Poznań . .	1.908	4.970	5.533	909	847	40	187	17	215	—	—	
10. Radom . .	635	2.700	2.400	1.314	903	12	116	75	—	—	—	—
11. Rzeszów .	200	760	885	550	155	16	53	33	27	—	—	—
12. Szczecin .	—	593	999	400	250	21	22	6	—	—	—	—
13. Warszawa .	1.326	2.004	3.025	793	300	22	68	45	50	—	—	—
14. Sopot . .	—	760	?	?	?	—	—	—	—	—	—	—
15. Inne . .	2,944	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—	—
Razem .	11.760	20.183	25.190	6.361	4.264	205	870	245	368			

Załącznik 3.

Województwo	Ilość sztuk: Żubr	Łoś	Kozica	Muflon	Ocena stopnia stanu zwierzęcego: Ryś	Jeleń	Daniel	Lis	Borsuk	Wilk	Zając	Królik	Tumak	Bażant	Głuszec	Cietrzew	Kuropatwa	Jarząbek	Kaczka	Łabędź	Słomka	Sarna	Dzik
1. Bytom . .	20			10		3	1	5			2			1	5	3			5			2	
2. Białystok . .	16	6			2	2		5	5	4	1				3	2	1	2		2		2	3
3. Dolny Śląsk . .																							
4. Kraków . . .	5		30		1	2	1	5						1			3	5				2	
5. Lublin . . .																							
6. Łodź . .						2	1	5	5		4		3	2		2	1					3	3
7. Olsztyn . .						2	2										3					3	3
8. Radom . . .						1		5			2	2		1			5		3			1	3
9. Rzeszów . .						1		5	5	4	5			2	2	2	5	5	5			1	5
10. Poznań . . .						4	1	5			5			4			5					4	5
11. Pomorze . .						3	2				5						3		5			3	5
12. Szczecin . .						2		5			1						3					3	5
13. Warszawa																							

SPRAWOZDANIE

Prezesa Zarządu Spółdzielni „Jedność Łowiecka"

Spółdzielnia „Jedność Łowiecka" została założona w dniu 13. 6. 1946 r. Szczegółowe sprawozdanie z działalności Spółdzielni za czas od jej powstania do 1 listopada ub. r. złożone zostało na posiedzeniu Naczelnej Rady Łowieckiej w Łodzi w dniu 2. 11. 1946 r. i wydrukowane w pierwszym numerze „Łowca Polskiego" z roku 1947.

Celem przypomnienia pozwolę sobie jednak w krótkich słowach skreślić powstanie i rozwój Spółdzielni.

Polski Związek Łowiecki, jako instytucja o charakterze ideowym, nie mógł zająć się sprawami handlu bronią i amunicją myśliwską.

W związku z tym w styczniu 1945 r. Komitet Wykonawczy P. Z. Ł. powołał do życia Komisję, która zajęła się zorganizowaniem Spółdzielni. W dniu 15 czerwca 1946 r. został zatwierdzony statut Spółdzielni, w którym przewidziany jest następujący zakres działania:

§ 1 Celem Spółdzielni jest:

1. urządzenie i eksploatacja terenów łowieckich, wydzierżawionych przez Spółdzielnię „Jedność Łowiecka".
2. Hodowla zwierzyny na terenach specjalnie do tego przeznaczonych.
3. Urządzanie polowań reprezentacyjnych na polecenie Ministerstwa Leśnictwa.
4. Eksport zagranicę zwierzyny żywej i dziczyzny (zwierzyny bitej).
5. Dostarczenie dla Państwowych Fabryk konserw dziczyzny.
6. Dostarczenie dla Zjednoczenia Przemysłu Skórzanego futer i skór.
7. Zaopatrywanie uprawnionych w broń, amunicję i przybory myśliwskie po uzyskaniu odpowiednich uprawnień od właściwych władz.

§ 4. Dla osiągnięcia powyższego celu Spółdzielnia:

1. Prowadzi biuro dzierżawy polowań i urządzenia terenów łowieckich i organizacji polowań.
2. Prowadzi punkty zakupu i sprzedaży dziczyzny, futer, skór, broni, amunicji i przyborów myśliwskich.
3. Współpracuje z władzami i samorządem gospodarczym w zakresie organizacji rynku płac i cen.
4. Organizuje odczyty, kursy, racjonalne hodowle i t. p.

Spółdzielnia zaczęła swoją działalność w warunkach wybitnie niekorzystnych, a mianowicie: bez lokalu i kapitału zakładowego z 14 członkami założycielami.

Początkowo zezwolenia na korzystanie ze swego lokalu przy ul. Miedzianej 4a udzielił Komitet Wykonawczy, po otrzymaniu przydziału na większy lokal przy ul. Żulińskiego Nr 6, Komitet Wykonawczy odstąpił jeden pokój dla Spółdzielni.

Kapitał początkowy na uruchomienie Spółdzielni został udzielony, jako pożyczka bezprocentowa, przez Komitet Wykonawczy P. Z. Ł. w wysokości 25.000 zł. oraz 240.000 zł. przez kol. Kowalskiego i przeze mnie. Wezwanie członków P. Z. Ł. do zapisywania się na członków Spółdzielni pozostało bez większego echa.

Zaopatrywanie członków w amunicję napotykało na bardzo duże trudności. Jedyna fabryka, która zaczęła fabrykować amunicję od początku 1946 r. była w stanie odbudowy i produkcja ta odbywała się sposobem ręcznym. Łuski oraz elementy do wyrobu tych ładunków kupowano na wolnym rynku. Jakość tych naboi była nierówna i przeważnie niedostateczna, cena zaś b. wysoka.

W dalszym ciągu prac Spółdzielni na czoło wysuwały się następujące zagadnienia:

1. Amunicja myśliwska, elementy do wyrobu amunicji i broni myśliwskiej.
2. Lokal Spółdzielni.
3. Kapitał obrotowy i inwestycyjny.
4. Organizacja Centrali i Oddziałów.

I. AMUNICJA.

Po długich zabiegach i staraniach uzyskaliśmy w Zjednoczeniu Materiałów Miotających i Kruszących zapewnienie, że cała produkcja naboi będzie postawiona do dyspozycji naszej Spółdzielni.

Uważaliśmy że cena naboi — 45 zł. za sztukę jest za wysoka. W związku z tym złożyliśmy memoriał do Centr. Zarz. Przem. Zbrojeniowego i do Min. Przemysłu. Na temat ten oraz na temat produkcji i sprzedaży amunicji dla naszej Spółdzielni odbyła się w Ministerstwie Przemysłu u Dyrektora Dep. Planowania konferencja, w której kol. Kowalski i ja wzięliśmy udział.

Sprawy obniżenia ceny naboi nie udało się przeprowadzić pomimo tego, że zostało wykazane, iż koszty fabrykacji nawet przy zakupie elementów na wolnym rynku były wówczas o 50% niższe od ceny sprzedaży. Dyrekcja Zjednoczenia oświadczyła, że fabryka jest w odbudowie i dochód z produkcji naboi idzie na odbudowę.

Wobec pełni sezonu myśliwskiego ilość sprzedanej amunicji i elementów okazała się tak nikła, że mogła jedynie zaspokoić w 10% ogólne zapotrzebowanie myśliwych w tym okresie. To też z wielką przykrością musimy wyjaśnić naszym członkom i myśliwym, zgłaszającym się po naboje, że naboi tych nie mamy, i że jest to nie od nas zależne. Sytuacja ta uległa nieco poprawie pod koniec sezonu myśliwskiego, t.j. w drugiej połowie stycznia.

Wobec uruchomienia produkcji naboi zawarliśmy z Zjednoczeniem Przemysłu Materiałów Miotających i Kruszących umowę na dostarczenie partiami aż do 15 października 1947 r. 1.000.000 szt. naboi. W razie wykonania tej dostawy projektujemy zamówić drugi milion na sezon zimowy. W ten sposób, jeśli zamówienia te będą wykonane, zostałaby rozwiązana najbardziej paląca sprawa zaopatrzenia myśliwych w amunicję.

Za cały okres ubiegły sprzedaż amunicji i elementów myśliwskich w cyfrach w sklepie Spółdzielni przedstawia się następująco:

1.	Naboje śrutowe	54.223 szt.
2.	Proch bezdymny	89 kg.
3.	Śrut	3.500 kg.
4.	Spłonki „Gevelot"	105.273 szt.
5.	Spłonki płaskie	34.100 szt.
6.	Łuski	18.800 szt.
7.	Naboje flowerowe	12.000 szt.

Ponadto sklep sprzedawał akcesoria myśliwskie.

W końcu roku ubiegłego dowiedzieliśmy się, że do Warszawy ma przyjść transport broni myśliwskiej, wydanej Polsce w drodze reparacji niemieckich. Łącznie z P. Z. Ł. poczyniliśmy starania o przydział tej broni dla naszej Spółdzielni do sprzedaży członkom P. Z. Ł.

Po długich staraniach i zabiegach w czerwcu r. b. uzyskaliśmy z Centralnego Urzędu Planowania przydział 2002 szt. strzelb następujących marek:

1.	„Simson"	1323 szt. kal. 16
2.	„Merkel Bock"	15 szt. kal. 16
3.	„Sauer"	664 szt. kal. 16 i 12

C. U. P. wyznaczył marżę zarobkową dla Spółdzielni 10% od Administracji Lasów Państwowcyh, 15% od urzędników i 25% od innych.

Ceny orientacyjne wyniosą w zależności od marki:

„Simson"	od 18.800	do 28.000.—
„Sauer"	od 22.300	do 31.000.—
„Merkel"	od 37.350	do 41.850.—

Do ceny Spółdzielni na skutek uchwały Komitetu Wykonawczego będą dodane do każdej strzelby pewne sumy na budowę domu P. Z. Ł. jako dobrowolne wpłaty od 500 zł. do 3.000 zł., a mianowicie wg tabelki:

Odbiorca	przy cenie		
	od 15–20 tys.	od 20–25 tys.	powyż. 25 tys.
Leśnicy	500.—zł.	750.—zł.	1.000.—zł
Urzędnicy państwowi, Samorząd i Wojsko	750.— „	1.000.— „	2.000.— „
Od innych	1.000.— „	1.500.— „	3.000.— „

Połowę tej sumy w przyszłości P. Z. Ł. zwróci Spółdzielni po otrzymaniu wpływów ze składek na fundusz odbudowy siedziby.

Broń powyższą spodziewamy się rozprowadzić w ciągu jednego roku.

II. LOKAL SPÓŁDZIELNI.

Komitet Wykonawczy P. Z. Ł. udzielił Spółdzielni lokalu przy ul. Żulińskiego 6 na okres przejściowy t.j. do czasu wyszukania innego.

Lokal ten składał się z jednego pokoju o pow. ca. 17 m. kw. W tym to lokalu mieści się sklep, administracja i buchalteria oraz zarząd. Tego rodzaju warunki pracy na dłuższy dystans były niemożliwe. Rezultaty jakie w tych warunkach dało się osiągnąć są wynikiem uciążliwej i pełnej zapału pracy dla nowopowstałej placówki naszego personelu.

Sprawa lokalu okazała się bardzo trudnym zagadnieniem do rozwiązania.

Zwracaliśmy się do Urzędu Kwaterunkowego o przydział lokalu jako Instytucji o charakterze powszechnym. Niestety zagadnienia te w Warszawie są bardzo trudne. Oświadczono nam, że lokal taki należy sobie odremontować. Nie mieliśmy na to odpowiednich funduszów, gdyż Spółdzielnia nasza operowała stale małym kapitałem obrotowym, przeważnie pożyczonym.

Dla uzbierania funduszów, potrzebnych na remont lokalu, musieliśmy cierpliwie pracować przez szereg miesięcy w warunkach, nieodpowiednich zupełnie dla przedsiębiorstwa handlowego.

Po długich poszukiwaniach znaleźliśmy i wydzierżawiliśmy lokal przy ul. Marszałkowskiej Nr. 31, składający się ze sklepu i dużego pokoju, gdzie mieszczą się biura Spółdzielni i Zarządu. Lokal ten został wydzierżawiony na 1 rok za cenę 300.000.— zł.

Poczyniliśmy starania w Zarządzie Miasta o przydział domu do odbudowy przy ul. Chmielnej Nr. 10 Jest to jednak przedsięwzięcie bardzo trudne do wykonania, gdyż zabudowa przewiduje 2 piętra. Na parterze sklepy, na piętrach mieszkania prywatne. W oficynie mogą mieścić się warsztaty reperacyjne broni. Sprawa ta będzie przedmiotem usilnych starań Zarządu.

III. KAPITAŁ OBROTOWY I INWESTYCYJNY.

Jak już nadmieniłem w sprawozdaniu z dnia 2. XI. 1946 r. na pierwsze poczynania Spółdzielni kapitał zakładowy był pożyczony bezprocentowo.

Już na dzień 31 grudnia ub. r. pożyczki te prawie były w całości spłacone. Na dzień 31 marca r.b. ilość udziałów wzrosła do 638 na sumę 434.000 zł. Bilans na dzień 31 marca r. b. wykazał 3.089.759 zł. obrotu oraz 277.139 zł. czystego zysku. W dniu dzisiejszym Spółdzielnia posiada 881 członków.

Kapitał, jakim dysponowała Spółdzielnia, był wciąż niedostateczny. Zaciągaliśmy jeszcze parokrotnie krótkie pożyczki od Komitetu Wykonawczego P. Z. Ł. Z posiadanym kapitałem nie można było przystąpić do zrealizowania nawet w małym zakresie tych celów, jakie przed Spółdzielnią stały.

W związku z umową zakupu 1 miliona sztuk naboi wystąpiliśmy do Państwowego Banku Rolnego o udzielenie nam kredytu towarowego w wysokości 20.000.000 złotych na zrealizowanie tej transakcji. Kredyt ten uzyskaliśmy. Zjednoczenie Materiałów Miotających i Kruszących, przed przystąpieniem do wykonania zamówienia, żądało wpłacenia zaliczki w wysokości 10.000.000 zł. na poczet tej transakcji. zaś drugie 10.000.000 zł. potrzebne było na wykup nadsyłanych naboi, aż do czasu ich sprzedaży.

Obecnie wystąpiliśmy o nową pożyczkę do P.B.R. na zapłacenie przyznanych nam strzelb w wysokości 30.000.000 zł., która to pożyczka ma być nam w najbliższym czasie udzielona.

Pozwolę sobie nadmienić, że pomimo trudnych warunków finansowych Spółdzielnia sfinansowała łącznie z Komitetem Wykonawczym wydawnictwo książki płk. Downara - Zapolskiego „Dubeltówka śrutowa, nabój, strzelanie".

W dniu 27 kwietnia b. r. odbyło się walne zgromadzenie członków Spółdzielni, na którym Władze Spółdzielni otrzymały absolutorium.

Projektowany budżet dla naszej Spółdzielni na rok 1947, zatweirdzony przez Walne Zgromadzenie wynosi:

obroty:	72.000.000.— zł.
zysk brutto:	12.000.000.— zł.

IV. ORGANIZACJA SPÓŁDZIELNI. CENTRALI, ODDZIAŁÓW.

Rada Nadzorcza Spółdzielni, wybrana na Zebraniu organizacyjnym, w ciągu ubiegłego okresu została częściowo zdekompletowana przez wyjazd członków Rady bądź z kraju, bądź z Warszawy. W związku z tym trudno było zebrać quorum dla powzięcia prawomocnych uchwał. Tymczasem Spółdzielnia jako jednostka handlowa rozszerzyła swój zakres działania i powstało coraz więcej zagadnień, które winny były być rozpatrzone przez Radę Nadzorczą.

Na Walnym Zgromadzeniu członków Spółdzielni w dniu 27.IV.1947 r. uzupełniony został skład Rady w ten sposób, że większość członków zamieszkuje w Warszawie.

Spółdzielnia nasza na samym początku swego powstania przewidziała otwarcie dwóch Oddziałów w Warszawie i Poznaniu. W związku z tym otrzymaliśmy zezwolenie z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na otwarcie Spółdzielni w tych miastach. Po otrzymaniu tego zezwolenia zwróciliśmy się do Prezesa Wojewódzkiej Rady Łowieckiej Prof. Schechtla z prośbą o przyjazd do Warszawy w tej sprawie. Z Prof. Schechtlem omówiliśmy zagadnienia organizacyjne Oddziału i wystawiliśmy pełnomocnictwa.

W dalszym ciągu prac organizacyjnych okazało się, że zorganizowanie Oddziału napotykało na duże trudności, gdyż w Poznaniu zawiązana została Poznańska Spółdzielnia Myśliwska i prof. Schechtel jest Prezesem Rady Nadzorczej tej Spółdzielni i z tego względu nie może zająć się zorganizowaniem naszego Oddziału. Na skutek długotrwających pertraktacyj Wojew. Rada Łowiecka w Poznaniu uchwaliła założenie Oddziału naszej Spółdzielni z tym, że członkowie Poznańskiej Spółdzielni Myśliwskiej wejdą na członków do naszej Spółdzielni.

Oddział w Poznaniu jest już założony, lokal wynajęty i sklep będzie czynny od dnia 1 lipca r.b.

W dniu 30 grudnia ub. r. otrzymaliśmy zezwolenie M. B. P. na otwarcie oddziałów w Toruniu i Katowicach. W dniu 1 marca r. b. został otwarty Oddział Spółdzielni w Toruniu, a w najbliższych dniach będzie otwarty oddział w Katowicach

V. PRACA NA NAJBLIŻSZĄ PRZYSZŁOŚĆ

Największy wysiłek Zarządu będzie skierowany ku temu, aby należycie rozprowadzić zakupione 1.000.000 sztuk naboi oraz 2.002 szt. strzelb pomiędzy członków P. Z. Ł.

Jak to już zaznaczyłem, jest to podstawa naszego budżetu i od tego będzie zależało zrealizowanie dalszych planów i zamierzeń.

Następnie pójdzie otwarcie oddziałów Spółdzielni w Łodzi, Krakowie, Gdańsku i innych miastach wojewódzkich oraz wybudowanie własnej siedziby i założenie warsztatów rusznikarskich.

Realizując powyższe zamierzenia o charakterze handlowym, Zarząd jednocześnie projektuje rozwijać swoją działalność o charakterze ideowym, a mianowicie:

a) zakładać wzorowe łowieckie ośrodki hodowlane, któreby umożliwiły poszczególnym stowarzyszeniom zaopatrywanie się w odpowiedni materiał hodowlany.

b) popierać wydawnictwa z zakresu łowiectwa.

c) propagować i popierać walkę z kłusownictwem.

Na zakończenie pozwolę sobie tutaj nadmienić, że jeszcze rok temu Spółdzielnia „Jedność Łowiecka" była tylko nazwą bez lokalu, pieniędzy, personelu. Dzisiaj, zawdzięczając pracy kilku ludzi, przeradza się w poważną placówkę, która zajmie należne jej miejsce przy odbudowie gospodarki łowieckiej w Polsce.

W celu przyśpieszenia rozwoju naszej Spółdzielni pozwolę sobie zaapelować do członków P. Z. Ł., aby zapisywali się na członków Spółdzielni oraz brali czynny udział w jej pracach.

Inż. KAROL HUMIŃSKI

Płk. HENRYK ZAPOLSKI - DOWNAR

Dwunastka, szesnastka, czy dwudziestka?

U wielu myśliwych powstaje zagadnienie, jaką broń śrutową nabyć: dwunastkę, szesnastkę, czy dwudziestkę? Czego wymakać od takiej broni? Z takimi lub podobnymi zapytaniami zwracają się częstokroć myśliwi do autora niniejszego artykułu, co posłużyło za przyczynek do jego napisania.

Zacznę od odpowiedzi na pytanie ostatnie — pytanie zresztą istotne. Odpowiedź będzie brzmiała: *przede wszystkim od broni śrutowej należy wymagać składności.* Jest to warunek najważniejszy. Gdybyśmy uszeregowali zasadnicze warunki, od których zależy wynik polowania z bronią śrutową, według ich praktycznego znaczenia (zaczynając od mniej ważnych), należałoby ustawić w następującej kolejności: 1) jakość broni, 2) umiejętność strzelania i jakość naboju, 3) składność broni.

Przy dzisiejszym postępie techniki każda nowoczesna broń śrutowa bije na odległość 50 kroków dostatecznie dobrze i jeśliby myśliwy strzelał na tej odległości bez pudła, dobry wynik polowania miałby zapewniony.



Po udanem polowaniu na kury fot. N. Piekarski

Możnaby twierdzić, choć brzmi to paradoksalnie, że im gorszy strzelec — tym gorsza musi być broń śrutowa. Dobra, gęsto bijąca broń, tylko w ręku dobrze strzelającego myśliwego okaże swą wartość i da dobry wynik polowania. Myśliwy, strzelający miernie lub źle, nie powinien używać broni bijącej zbyt gęsto. Dla takiego myśliwego będzie najlepszą broń o około 50% krycia t. zn. broń przynosząca w tarczę o średnicy 75 cm. około połowy śrucin naboju, a drugą połowę obok. Ściślej mówiąc „obok" — t. j. na odległość do 10—15 cm. do wymienionej tarczy — trafi około 10—20% śrutu, czyli około 60—70% naboju trafi w tarczę około 1 metra średnicy. Ułatwia to trafianie na polowaniu. Broń bijąca gęściej będzie powodem pudeł (im większy procent krycia w tarczę, tym mniejszy procent śrucin trafia obok). Należy sobie uświadomić, że *broń śrutowa nie powinna bić nadmiernie gęsto*, bo wówczas mało różniłaby się od broni kulowej, z której w różnorodnych warunkach strzelania na polowaniu, nieraz bardzo trudnych, nie umiałby strzelać z dobrym wynikiem najlepszy myśliwy.

Z kolei, dobrze strzelający, mający w ręku dobrą broń, nie osiągnie dobrych wyników polowania, jeżeli będzie używał złych lub nieodpowiednich nabojów — źle sporządzonych, o złych przybitkach, nieodpowiedniej wielkości ładunku prochu lub śrutu, zbyt cienkim lub grubym śrucie i t. p.

Wreszcie, co najważniejsze, wszystkie powyższe warunki — dobra broń, dobre strzelanie, dobry nabój — nie dadzą dobrego rezultatu, jeżeli broń będzie nieskładną. Powszechnie spostrzeżono, że najlepiej strzela się z broni, do której jesteśmy przyzwyczajeni, do której włożyliśmy się. Na polowaniu mało mamy czasu do celowania. Waga broni, długość luf, rozłożenie wagi, zwłaszcza kształt kolby mają tu ogromne znaczenie. Broń musi być tak składną, ażeby z niej w różnych kierunkach i przy różnych pozycjach ciała strzelającego można było szybko prawidłowo złożyć się do strzału. Jeżeli po złożeniu się trzeba będzie jeszcze je poprawiać, strzał nie będzie pewny, stracimy czas na poprawki, a zwierzyna odbiegnie, lub odleci na zbytnią odległość, albo skryje się, chociażby częściowo, za krzew, drzewo i t. p.

Ażeby dobrać dla siebie składną dubeltówkę śrutową trzeba, będąc w normalnym ubraniu bez płaszcza, złożyć się wielokrotnie jak do strzału, w kierunku przedmiotów na poziomie, powyżej i poniżej oczu, na wprost, na prawo i lewo od składającego się. Jeżeli składanie się będzie łatwe, swobodne, a muszka będzie umiejscawiać się na wprost środka baskili i nieco wyżej od niej (około 0,5 cm.) tak, że będzie widać nieco szynę — broń jest składną. Umiejscowienie muszki powyżej baskili jest praktyczne z tego względu, że wówczas lepiej jest widoczną i muszka i zwierzyna, do której celujemy w ten sposób, ażeby cała była widzianą ponad lufami. Nadto praktyczne jest z tego względu, że takie umiejscowienie muszki chroni przed strzałami zdołowanymi, a tych ostatnich śród chybionych jest większość, gdyż uciekająca zwierzyna przeważnie „idzie w górę" w stosunku do strzelającego, czy to odlatując, gdy podnosi się, czy uciekając po ziemi, gdy strzelamy do niej z pozycji stojącej.

Przejdę do zagadnienia wyboru kalibru broni. Znane jest mniemanie ogółu myśliwych, że strzelba większego kalibru jest bardziej odpowiednią na grubszą, większą zwierzynę. Jest to mniemanie względne. Wprawdzie wielkość kalibru ma wpływ na ilość trafiających w cel śrucin, lecz broń mniejszego kalibru lepsza od broni kalibru większego może dać taki sam efekt. Wykaże to obliczenie. Przyjmijmy, że 32 gr. normalnego ładunku średniej grubości śrutu dla kalibru dwunastego zawiera 320 śrucin, wówczas 28 gr. normalnego ładunku takiego śrutu dla kalibru szesnastego będzie zawierało 280 śrucin, a dla dwudziestego 26 gr. — 260 śrucin. Przypuśćmy teraz, że posiadana przez nas dwunastka daje 50% krycia t. zn. w tarczę (o średnicy 75 cm.) trafia połowa ładunku, czyli 160 śrucin. Łatwo obliczymy, że szesnastka przyniesie również 160 śrucin, jeżeli będzie biła nieco gęściej i da 57,1% krycia (160 × 100 : 280 = 57,1).

Obliczając w podobny sposób warunki jednakowego efektu strzału dla szesnastki i dwudziestki, jeżeli dwunastka da 50, 60, 70 i 80% krycia, otrzymamy porównanie:

dwunastka — 50% — 60% — 70% — 80%
szesnastka — 57,1% — 68,5% — 80% — 91,4%
dwudziestka — 61,5% — 73,8% — 86% — 98,4%.

Analogiczne porównanie dla szesnastki i dwudziestki wypadłoby:

szesnastka — 50% — 60% — 70% — 80%
dwudziestka — 53,8% — 64,6% — 75,3% — 88,4%.

Z tych zestawień widzimy, że dwunastce o około 50 — 60% krycia może dorównać szesnastka bijąca lepiej

o około 7,1% — 8,5%, dwudziestka zaś około 11,5% — 13,8%. Szesnastce dającej około 50, 60, 70% krycia, może dorównać dwudziestka, bijąca lepiej o około 3,8— 4,6 — 5,3%. Jest to praktycznie możliwe. Natomiast zupełne dorównanie dwunastce, dającej 70%, a szesnastce około 75% krycia i więcej, jest niemożliwe, bo szesnastka, ażeby dorównać dwunastce, musiałaby dać najmniej 80%, a dwudziestka ażeby dorównać dwunastce i szesnastce — 80 — 86% krycia. Takich strzałów w przeciętnych warunkach (broni i nabojów) nie spotykamy. Ażeby nie być gołosłownym, powołam się na zaświadczenia załączone do dwuch dubeltówek Lebeau, kl. 12, Nr. 24541 i 24542, o ceny sprzedażnej po 2.100 zł. posiadanych w 1932 r. przez „Spółkę Myśliwską" w Warszawie. Otóż dubeltówka Nr. 24541 dała przy sześciu próbnych strzałach procent krycia 80,3 — 74,8 — 77,0 — 79,0 (lufa lewa) i 75,4 — 79.3 — 76,7 — 78,3 (lufa prawa), dubeltówka zaś Nr. 24542 dała — 75,4 — 78,3 — 77,4 — 80,3 (lufa lewa) i 78,0 — 80,0 — 75,8 — 77,0 (lufa prawa), dla dubeltówek więc przeciętny procent wyniósł tylko 77,6 — 77,7, a pojedyńczy strzał najlepszy tylko 80,3%. Zauważmy, że taki procent krycia dały dubeltówki drogie, rasowe, znanej fabryki, jako maksimum tego co można od broni wymagać.

Należy podkreślić, że szesnastka i dwudziestka dorównają większemu kalibrowi łatwiej, jeżeli ich ładunki śrutu zwiększymy odpowiednio do 30 i 28 gr. wagi, co przy tych mniejszych kalibrach, (w przeciwieństwie do dwunastki) nie odczujemy w postaci zbyt silnego kopania.

Jak z powyższych wywodów widzimy, dwunastce o strzale 70% krycia i więcej nie dorówna szesnastka i dwudziestka, tymczasem kaliber broni wpływa na jej wielkość, a więc ciężar, zbyt zaś ciężka broń, w stosunku do siły fizycznej myśliwego, wywołuje przy dłuższym polowaniu przemęczenie i pudłowanie. Dlatego *kaliber nabywanej broni winien być uzależniony* od *siły fizycznej myśliwego*. Oczywiście myśliwy silny może bez zmęczenia używać dubeltówki dowolnego kalibru, natomiast myśliwy mniej silny nie powinien nabywać dwunastki, lecz szesnastkę, a nawet dwudziestkę.

H. ZAPOLSKI - DOWNAR

WACŁAW KACZYŃSKI

Z dziejów łowiectwa w Puszczy Kampinoskiej

Zbierając materiały do opracowania zarysu historii puszczy Kampinoskiej, w której osobny dział stanowić będzie łowiectwo w borach Kampinos oraz rozwój, a raczej zanik zwierzyny łownej, pragnę na łamach „Łowca" podzielić się z kol. kol. Myśliwymi, zebranymi dotychczas wiadomościami.

Na skraju południowym puszczy Kampinoskiej, od strony wsi Kampinos, istnieje wydzielony rezerwat leśny pod nazwą „Zamczysko". Jest to rezerwat historyczno-przyrodniczy, kilkakrotnie opisywany.

W tym miejscu przeto ograniczę się jedynie do krótkiego streszczenia opisu w części, dotyczącej tematu.

Według badań archeologicznych „Zamczysko" stanowi szczątki przedhistorycznego warownego grodziska, czego dowodem są doskonale zachowane dwie fosy okalające wzniesienie, na którym znajdował się Gród. Właściwe grodzisko ma kształt eliptyczny, o średnicach 44 i 23 m. Wnosząc z kształtu i położenia badacze określają w przybliżeniu czas powstania grodziska na koniec 10-go lub połowę 11-go wieku. Był to gród piastowski, a może nawet jeszcze starszy plemienny ośrodek mazowiecki. Późniejsze badania wykazują, że znajdował się tu pałacyk myśliwski książąt Mazowieckich i dlatego ludność nazwała to miejsce „Zamczysko".

Wydaje się, że „Zamczysko" było istotnie książęco-królewską siedzibą łowiecką, gdyż fosy obejmują stosunkowo zbyt małą przestrzeń, jak na warowne grodzisko, do którego miałaby się chronić okoliczna ludność dla ochrony przed najeźdźcą.

Otoczenie grodziska fosami musiało być dyktowane nie potrzebą uczynienia go warownym i obronnym, ile raczej wynikało z zasad ówczesnej architektury siedzib książęco-królewskich, zapewniających za fosami i palisadami bezpieczeństwo osobie księcia i jego dworowi, który na łowy zjeżdżał.

Jest to bodaj jedyny widomy ślad urządzeń łowieckich z czasów najdawniejszych, wskazujący na to, że puszcza Kampinoska była wielkim rezerwoarem zwierzyny łownej, jak zresztą i inne bory polskie.

Wiadomo jest, że królowie polscy przed wyprawą wojenną, urządzali wielkie obławy w lasach, dla zdobycia mięsa, które cięte na płaty i suszone, stanowiło podstawę wyżywienia wojsk.

Przez puszczę Kampinoską wiedzie wielki grunwaldzki szlak Jagiełły, który, po zgromadzeniu w Wolborzu chorągwi małopolskich, ruskich i podolskich oraz najemników czeskich, ruszył przez Lubochnię, Wysokieniec, Sejmice, Skierniewice i Kozłów Biskupi nad Bzurą ku Czerwińskowi, przeprawił się u Kępy Sladowskiej przez Wisłę i tu połączył się z wojskami wielkopolskimi i nadciągającym Witoldem.

Wiadomo jest, że w tym pochodzie Władysław Jagiełło, król niezmiernie zapobiegliwy i przezorny, głównie w puszczy Kampinoskiej, urządzając wielkie obławy, zaopatrzył swoje hufce w mięso.

W rejonie puszczy Kampinoskiej istnieje cały szereg wsi, których nazwy wskazują na to, że puszcza była głównie terenem łowów królewskich — jak Famułki Królewskie, Piaski Królewskie, których ludność zwolniona była od wszelkich danin i pańszczyzny, wzamian czego obowiązaną była brać udział w łowach królewskich, jako obławnicy i osacznicy.

Do rzędu takich wsi należała również i wieś Kampinos.

Że puszcza Kampinoska stanowiła tereny łowieckie królów polskich, znajdujemy na to potwierdzenie w dziele napisanym w r. 1843 przez Mikołaja Reumanna — urzędnika do szczególnych poruczeń, — wydanym drukiem w r. 1845 p.t. „Gospodarstwo Łowieckie z historią starożytną łowiectwa polskiego".

Otóż na str. 4 wymienionego dzieła, czytamy:

„Nad rzeką Bzurą w okolicach Łowicza, Polscy Prymasi wyprawiali łowy na łosie i jelenie. A oswobodziciel Wiednia Jan III Król Polski, odbywał podobne w lasach zwanych puszczą Kampinoską od wsi Kampinos, wśród lasu zbudowanej, którą jak niektórzy pisarze utrzymują, tak nazwano od słów w języku łacińskim przez tegoż Monarchę wyrzeczonych:

„Ubi campi nos fuimus".

Szczątki dawnej puszczy składają dziś leśnictwo rządowe Kampinos, lecz łoś i jeleń pomimo dogodnej miejscowości, ścigany bez umiarkowania przez łowców, niepokojony od włościan osiedlających się wśród lasów, dawno one, i to bezpowrotnie, opuścił".

Powyższa wzmianka — jakże niezmiernie cenna i ciekawa dla badacza łowiectwa dawnych czasów oraz pochodzenia nazw polskich wsi, mówi nam o jakości i gatunkach zwierzyny oraz stwierdza, że Król Jan III niejednokrotnie swoje łowy tu odbywał, skoro nadał wsi nazwę „Campi nos" — od czego cała puszcza przybrała nazwę — Kampinoskiej.

Z cytowanego wyżej dzieła mamy jeszcze jedną cenną notatkę, którą w dosłownym brzmieniu podaję:

„Wedle wiarogodnych podań, Branicki, Wielki Łowczy Koronny, pan wielce możny, właściciel mnogiej psiarni, polował na niedźwiedzie w puszczy Kampinoskiej; a od jednego z nich, którego ranił, byłby srodze poturbowany, gdyby go trafnym strzałem Buczacki nie uwolnił od zguby. Branicki oswobodzony od rozjuszonego zwierza, ofiarował wybawcy swemu zegarek na emalii, którego dla pamiątki, niedźwiedź był godłem. Zegarek ten później miał przejść na własność pana Stentzel, dziedzica wsi Duchnic (o mil 2 od Warszawy), głośnego z posiadania niezrównanego charta, zwanego Wolantem, który, jak wieść niesie, miał podeszwy u nóg kosmate, podobnie jak u zająca.

Ludwik książę Radziwiłł, dawał wieś za niego, ale jej Stentzel nie przyjął".

Opierając się na powyższym, stwierdzić możemy, że puszcza Kampinoska obfitowała w łosie. jelenie i niedźwiedzie.

W roku 1776 król Stanisław August Poniatowski wydał prawa łowieckie, w których między innymi zastrzegał królewskie prawo polowania na części puszczy Kampinoskiej, co zostało ujęte, jak następuje:

„Polować około Warszawy o mil trzy nikomu nie wolno na polach ani w lasach rządowych, gdyż ta przestrzeń zostawiona jest dla zabawy królów; prawo to bynajmniej się jednak nie tyczy dóbr prywatnych, na których każdemu właścicielowi wolno polować.

Ustanowieni królewscy strażnicy tego pilnować będą, żeby w terytorium dóbr królewskich, przeciw temu prawu nikt nie wykraczał. Ujęty przez strażników, straci broń, psy, torbę i pro poenis do sądów grodzkich warszawskich zaprowadzony być ma. Vol. leg. VIII. fol. 184".

Datę wytępienia łosia i jelenia w puszczy Kampinokiej możemy ustalić dosyć ściśle.

Na str. 145 dzieła Reumanna znajdujemy zdanie:

„Jeszcze za panowania króla Augusta polowano na łosie w lasach Kozienickich i Kampinoskich", t. j. w drugiej połowie wieku XVIII; jeżeli zaś weźmiemy pod uwagę wyżej przytoczone — dojdziemy do wniosku, że łoś i jeleń zaginął w puszczy Kampinoskiej w końcu wieku XVIII i w początkach XIX-go.

Prawdopodobnie ostateczny kres tej szlachetnej zwierzynie położyła napoleońska kampania moskiewska, gdy wygłodzone wojska i ludność poszukiwały żywności i gdy, jak zwykle w czasie wojny, rozluźniają się prawa i ustawy ochronne zwierzyny.

Na marginesie tych uwag nadmienię, że w odl. o 8 klm. od Kampinosu we wsi Paprotnia, położonej przy szosie Poznań — Sochaczew — Warszawa, istnieją do dziś budynki starego zajazdu, w którym Napoleon, w czasie swego wielkiego pochodu na wschód, zapoznał się z Colonną Walewską.

Poza wyżej wymienionymi gatunkami zwierząt łownych puszcza Kampinoska, położona głównie na terenie pow. Sochaczewskiego, obfitowała w żubry i tury, które musiały zaginąć na przełomie wieku XV i XVI-go.

W Szwedzkiej Muzealnej Zbrojowni w Luftruskammaren, jak podaje płk. Zb. Czacherski, obecny Dyrektor Muzeum Wojska w Warszawie, między całym szeregiem polskich pamiątek wojennych, pochodzących głównie z okresu „potopu" szwedzkiego", na szczególne wyróżnienie zasługują rogi myśliwskie, z których jeden wykonany jest, jak głosi napis „z rogu ostatniego tura z Puszczy Sochaczewskiej" w r. 1620.

Jak rzadką, a cenioną zwierzyną był tur już w XV wieku, świadczy o tym fakt, że Jagiełło posłał ubitego tura jako specjalnie szlachetny podarek cesarzowi Zygmuntowi do Konstanzy.

Wspomniany napis z muzeum szwedzkiego dowodzi, że w roku 1620 nie znano jeszcze nazwy „Puszcza Kampinoska", że powstała ona później w końcu wieku XVII — właśnie za Króla Jana III.

W stosunku do ilości płowej zwierzyny musiała być odpowiednia ilość drapieżników, a że było ich dużo, świadczą o tym nazwy wsi. jak: Wilków, Wilcze Śladowskie, Wilkowa Wieś — położonych w rejonie Puszczy Kampinoskiej.

Nie od rzeczy będzie przytoczyć krótki opis techniki łowów królewskich, jaki za Tomaszem Bielawskim — („Myśliwiec" Kraków 1595 r.) podaje Reumann (str. 146, 147).

„Na łosie i innego grubego zwierza, polowali królowie nasi obławą i sieciami. Obławnicy napędzali żubry, łosie, niedźwiedzie na rozstawione siecie, a zwierz wpadłszy w nie, wplątał się, stracił siły i zabity został przez myśliwego wystrzałem, wymierzonym zwykle pomiędzy rogi. Podobne łowy odprawiał Stefan Batory, jak Bielawski świadczy, oraz inni królowie, a częstokroć i damy dworskie brały udział w przedsięwziętych trudach myśliwskich i narażaniu się na wściekłość dzikiego zwierza. W takim przypadku znajdowała się Helena, żona króla Aleksandra, która przypatrując się z altany łowom na żubry, ledwie uratowaną została wraz z jej frauencymerem, bo rozjuszone żubry wpadły na altanę i takową wywróciły; o czem wspomina uczony Czacki w swem dziele: o litewskich i polskich prawach, w tom. II, na kar. 260.

Zwierz wpędzony w sieci, jeżeli się w nie nie wplątał, utracił jednak możność bronienia się; a ścigany przez brytanów, jeżeli się rzucił na myśliwego, od tegoż rażony bywał oszczepem, którym myśliwy zawsze oprócz strzelby, uzbrojony był. Polowania na powyższe zwierzęta oprócz żubra, najniebezpieczniejsze były i z tej przyczyny powstało przysłowie: „Kto poluje na niedźwiedzie, niech każe przyrządzić łoże, kto na dzika — trumnę".

W. KACZYŃSKI

Jak się poluje w U. S. A.

Od jednego z naszych kolegów, Wł. Przybylskiego z Poznania, otrzymaliśmy kilka ciekawych szczegółów o warunkach polowania w niektórych stanach Ameryki Północnej, które mu przesłał brat jego, dziennikarz, od lat kilkunastu zamieszkały w Detroit.

W stanie Michigan co roku odbywają się w ciągu listopada polowania na jelenie (wirgińskie), hodowane w specjalnych rezerwatach. Wysokość odstrzału ustalają władze stanowe, które też udzielają zezwolenia na polowanie. W r. ub. odstrzał ustalono na *50 tys. sztuk jeleni*, a zezwoleń udzielono 150 tys. osobom. Ile zabito jeleni korespondencja nie podaje, ale za to padło od kul myśliwych 30 osób, zaś paręset zostało postrzelonych.

Przyczyną tego zjawiska jest okoliczność, że zezwolenia są udzielane każdemu, kto się zgłosi, bez jakiegokolwiek sprawdzania kwalifikacyj myśliwskich czy strzeleckich, zaś polowania odbywają się indywidualnie bez jakiegokolwiek planu organizacyjnego. Myśliwi błądzą po lesie — i walą do wszystkiego co się rusza.

W jesieni odbywają się też w stanie Michigan masowe polowania na bażanty, których jest zatrzęsienie, ale na zające jedzie się do Kanady, bo michigańskie koty są małe. Na ilustracji ubocznej widzimy detroickiego myśliwego w charakterystycznym stroju łowieckim z zającami kanadyjskimi.

Że stosunki łowieckie w stanie Michigan nie stanowią jakiegoś wyjątku, świadczy następująca korespondencja z Kansas:

„Jak donoszą z Emporia Kansas, urządzone były niedawno wielkie łowy na wilki w powiecie Lyons. Rezultat był ten, że zabito pięć lisów i zraniono czterech myśliwych. Wilki zostały w lesie".

Red.





Wędrówki ptaków

„Wędrówki ptaków" — Janusz Domaniewski, wyd. Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1947 r., str. 30.

Wędrówki ptaków stanowią jedno z najciekawszych i, jak dotąd, nie wyjaśnionych całkowicie zjawisk świata zwierzęcego. Na przyczynę wędrówek stałych, a właściwie okresowych, składa się szereg przyczyn wytłómaczalnych, jak: dążenie do przebycia okresu lęgów w warunkach najbardziej sprzyjających, ucieczka przed nadchodzącą surową zimą i trudnością zdobycia pożywienia, i t. p., ale równocześnie muszą działać jeszcze inne pobudki instynktowe, gdyż obserwacja wskazuje, że np. kuropatwa pozostaje u nas na zimę, gdy pokrewna jej przepiórka odlatuje, że większość kaczek ciągnie daleko na południe, gdy niektóre gatunki pozostają na zimę i doskonale ją przetrzymują.

Wyjaśnienie całkowite tego ciekawego zagadnienia musi i będzie dokonane. Ale musimy jeszcze na nie poczekać, gdyż systematyczne badania zjawiska wędrówek ptaków rozpoczęły się bardzo niedawno, bo dopiero od 1899 r., kiedy to skromny nauczyciel duński, Mortensen, wpadł na pomysł obrączkowania łowionych ptaków przez zakładanie im na nogę metalowej obrączki, na której wybity był jego adres i bieżący numer. Na podstawie otrzymanych odpowiedzi od przygodnych znalazców (myśliwych czy sidlarzy) mógł Mortensen ustalić drogę odbytej przez ptaka wędrówki.

Metoda Mortensena została powszechnie przyjęta i w chwili obecnej, we wszystkich krajach Europy, oraz w większości kulturalnych krajów innych części świata, istnieją stacje ornitologiczne, mające za cel właśnie obrączkowanie ptaków. ścisłą ich rejestrację i wykreślanie na podstawie otrzymanych odpowiedzi szlaków wędrówki ptaków przelotnych.

A szlaki te dają się w wielu wypadkach wykreślić zupełnie ściśle. Tak np. bociany mają wytkniętą trasę, wspólną niemal dla bocianów wszystkich krajów Europy, przez Turcję Europejską i Azjatycką, wzdłuż pobrzeża zachodniego Azji Mniejszej, przez Egipt do źródeł Nilu i dalej aż do Przylądka Dobrej Nadziei. Od-

wrotnie, rybitwy, gnieżdżące się na wybrzeżach Bałtyku, ciągną do tegoż Przylądka wzdłuż zachodnich brzegów Europy i Afryki.

Jest rzeczą charakterystyczną, że wszystkie szlaki wytykane są w ten sposób, aby lot odbywał się nad lądem, z najkrótszymi przelotami nad morzem.

Oczywiście, duża ilość ptaków przelotnych odbywa podróż na południe i z powrotem — na północ, szerokim frontem, bez trzymania się ściśle określonych szlaków, ale nawet i ptaki „szlakowe" ciągną często na północ inną drogą, niż na południe.

Jak wielkim bywa natężenie przelotu ptaków na wiosnę i na jesieni, o tem świadczą obserwacje największej w Europie stacji ornitologicznej na Helgolandzie, przy ujściu Elby do morza. Przeloty te trwają zarówno we dnie, jak i w nocy. Za dnia ptaki ciągną wysoko (od 100 do 1000 m.), ale w nocy opuszczają się niżej i wówczas przy świetle latarni morskiej widać setki tysięcy ptaków wszelkich gatunków, ciągnących w małych lub większych skupieniach bez przerwy. Duża część wędrowników osiada nad ranem na wyspie dla wypoczynku — i wtedy nie tylko pola i łąki całej wyspy, ale i nagie wybrzeża pokryte są dziesiątkami tysięcy ptaków wszelkich odmian.

U nas w Polsce pierwsze przylatują z południa skowronki i czajki. często już pod koniec lutego potem łabędzie, gęsi i kaczki. W marcu przybywają gołębie, skrzydlate drapieżniki, drozdy, słonki i bociany. A w kwietniu i w maju odbywa się masowy przylot jaskółek, wilg oraz wszelkich śpiewaków. Dłużej trwa okres odlotu ptaków przelotnych. Pierwsze opuszczają nasz kraj kuligi i brodźce, bo już w drugiej połowie czerwca, w sierpniu odlatują bociany i wilgi, we wrześniu — jaskółki, przepiórki i różne śpiewaki, w ciągu października i listopada — wszystkie inne ptaki, gnieżdżące się u nas.

Równie mało zbadanem, jak wędrówki stałe, jest też zjawisko wędrówek sporadycznych. Przykładem jaskrawym był np. przylot masowy w latach 1859, 1863 i 1888 pustynników, mieszkańców stepów Azji Środkowej, do Europy Środkowej i Północnej. W ostatnich latach 50 zaobserwowano wędrówki tak typowo osiadłych ptaków, jak wróble i kuropatwy. O koczowaniu kuropatw pisał w nr. 6 „Łowca Polskiego" z 1946 r gen. W. Nowodworski.

Wyjaśnienie tych zagadnień mogą dać dalsze badania nad zjawiskiem wędrówek ptaków, a drogą jedyną w chwili obecnej — poza obserwacją systematyczną — jest właśnie obrączkowanie ptaków, prowadzone u nas przez „POLSKĄ STACJĘ BADANIA WĘDRÓWEK PTAKÓW" przy Państwowym Muzeum Zoologicznym w Warszawie oraz przez kilkuset jej współpracowników, wybranych z pomiędzy ludzi dobrze z ornitologią obeznanych.

My, myśliwi, możemy pracy tej pomóc bądź przez wstąpienie do szeregu owych wykwalifikownych współpracowników Stacji, bądź też przez uświadomienie szerokiego ogółu o obowiązku dostarczania Stacji (ul. Wilcza Nr. 64) ustrzelonych lub pojmanych ptaków obrączkowych — bez względu na to, przez jaką Stację ptaka obrączkowano — wraz z podaniem wszelkich szczegółów kiedy, gdzie i w jaki sposób ptak taki został zdobyty.

To obszerne streszczenie uważam za najwłaściwszą formę oceny pożytecznej i ciekawej broszury kol. J. Domaniewskiego.

J. GIEYSZTOR

Wśród nowych książek

„Dziennik myśliwski" — Zbigniew Kowalski, Wydanie Polskiego Związku Łowieckiego, Warszawa. 1947 r., str. 247 z ilustracjami.

Od bardzo dawna nie odczuwałem tak wielkiej przyjemności przy czytaniu książki, jak teraz, gdy miałem w ręku „Dziennik Myśliwski" Zbigniewa Kowalskiego.

W prostą i bezpretensjonalną, ale piękną formę ujęte wspomnienia z łowów, tych prawdziwych i rzetelnych, wprowadzają czytelnika w dawny świat myśliwski, odtwarzają, niby na ekranie, obrazy przyrody i nader ciekawe efekty scen ze świetnie organizowanych polowań. Ze szczerym wzruszeniem wchłaniałem strona za stroną prześliczne opisy leśnej przyrody, ujęte w mocne i fascynujące słowa, drogim dalekim echem dzwoniły mi nazwy z rodzimych stron, przed oczami stawały miłe sylwety braci łowieckiej, a wiele mówiące nazwiska, czy to strzelców, czy osaczników wskrzeszały w duszy oddźwięki młodości.

Wczucie się Autora w piękno lasu, umiejętność wyłuskania wartościowych ziaren tego piękna i podanie ich w formie, która rzuca nam barwne obrazy dzikiej przyrody o każdej porze dnia i roku, dodaje niepospolitego uroku tej wartościowej książce.

Życzę Ci, drogi Autorze dalszej owocnej pracy na niwie piśmiennictwa i cieszyć się będę z całego serca jeśli, niezrażony chwilowymi trudnościami, dorzucać będziesz nowe klejnoty do skarbca naszej literatury łowieckiej.

WŁODZIEMIERZ KORSAK

„Poszumy lasu" — Wiesław Krawczyński, Kraków. 1947 r.

Ludzkość cała, a społeczeństwo polskie w szczególności, jest już zmęczone okropnościami wojny, obozów. hitleryzmem i t. p.

Dlatego też, gdy zauważy się na półkach księgarskich książkę mówiącą o czymś innym, niekoniecznie stale o zagadnieniach społecznych, chwyta się ją i czytanie jej jest jakby wytchnieniem po całodziennej pracy, jest jakby odciążeniem umysłu od stałych myśli o dniu codziennym, o wysiłku pracy, jest świąteczną chwilą wypoczynku i radości.

Do takich książek my myśliwi zaliczamy książki o polskiej przyrodzie, polskim lesie i polskiej zwierzynie.

Ostatnią nowością księgarską jest wydawnictwo Instytutu Wydawniczego „Glob" J. Chodorowicza w Krakowie. Autorem jest znany myśliwy, Wiesław Krawczyński, a tytuł „Poszumy lasu", stron 163. Ilustrowała Stefania Dretler - Flin.

Jest to jedna z najpiękniejszych książek, jakie w ostatnich czasach miałem w rękach. Staranna, bardzo estetyczna strona zewnętrzna tej książki dopełnia całości.

A całość mówi o bezgranicznym ukochaniu lasu. tego najcudniejszego przejawu przyrody.

Krawczyński jest nie tylko leśnikiem z wykształcenia, jest przede wszystkim leśnikiem z umiłowania swego zawodu, do którego predestynowało go ukochanie lasu. A kochać las, to kochać zwierzynę, to odczuwać przemożną emocję łowiecką i być „ochroniarzem" w całym tego słowa znaczeniu

Jego książka „Poszumy lasu“ to pean na cześć polskich kniei, to umiłowanie ich w najdrobniejszych przejawach. Widzieć piękno przyrody i znać jego podstawy naukowe, to moim zdaniem, największe szczęście człowieka. To znalezienie w życiu czegoś, czemu warto się poświęcić, co porywa swym najistotniejszym pięknem.

O tym wszystkim mówi autor na każdej stronicy swej pracy, która choć pisana jest dla starszej młodzieży, winna być przeczytana przez każdego, miłującego naturę, przyrodnika.

Autor w swej pracy wykazuje wszystkie korzyści, jakie daje las, wszelkie walory, jakie on daje ludzkości, a potym zastanawia się nad znaczeniem lasu w całokształcie przyrody, by zakończyć swój wielki pean hymnem na cześć myślistwa i zwierzyny.

Forma jaką nadał swej książce autor, jest bodaj najfortunniejsza, bo obok wielkich walorów narratorskich, wplata szereg poważnych myśli i przesłanek naukowych. Mówi o ziemi, o glebie, na której rośnie las, mówi o drzewostanach, o florze leśnej i o zwierzynie. Mówi o łowiectwie, tak ściśle związanym z lasem, i kończy dwoma obrazkami łowieckimi.

Mam wrażenie, że nie będzie w Polsce miłośnika lasu, któryby książki tej nie przeczytał z zajęciem, a dla niejednego młodego przyrodnika będzie ona skarbnicą wielu wiadomości z życia lasu, zwierzyny i łowiectwa.

Jedynym błędem jest niezbyt dokładnie opracowana nomenklatura łowiecka, ale piękna całość pozwala zapomnieć o tym niedociągnięciu.

Szata zewnętrzna wspaniała, oraz grafika dopełniają całości, tworząc z „Poszumów lasu“ jedną z najpiękniejszych książek doby powojennej.

*

Jakby dopełnieniem książki W. Krawczyńskiego jest praca dr. J. J. Karpińskiego p. t. „Białowieża“, wydana przez Instytut Wydawniczy „Kolumna“ w Warszawie. Stron 135. Z przedmową Ministra Leśnictwa Bolesława Podedwornego.

Minister Podedworny w przedmowie pisze: „Książkę niniejszą uważam za wydawnictwo na czasie, które w spełnieniu wymienionych celów będzie w wysokim stopniu użyteczne. Zawierając bogaty materiał historyczny i opisowy, zaznajamiający z obecnym stanem i życiem Puszczy, zapewni ona zwiedzającym szybkie i celowe poznanie jednego z najwspanialszych „klejnotów leśnych Polski“. W tym roku mija 25-cio lecie Parku Narodowego w Białowieży, którego kierownikiem jest autor tej książki, dlatego wydawnictwo to jest jakby uświęceniem tej rocznicy, świadczącej o zrozumieniu przez naród i rząd znaczenia, jakie posiala Białowieża“.

A jeśli Minister Leśnictwa o puszczy pisze przez wielkie „P“ możemy być pewni, że jej wielkie znaczenie dla nauk leśnych i przyrodniczych jest należycie chronione jako chram polskich kniei.

„Białowieża“ Karpińskiego, to monografia tej najwspanialszej i największej puszczy europejskiej.

Któż, jak nie Karpiński, mógł ją napisać. Tak jak autor ją zna, nikt jej nie poznał. Bo Puszczę znać trzeba nie z książek i źródeł historycznych, puszczę trzeba przemierzyć własnymi krokami, by ją należycie poznać, ukochać i zachwycić się jej pięknem.

Karpiński to piękno dojrzał. Wrażenia swoje odzwierciedlił w swej pracy, licznymi fotografiami przez niego ilustrowanej. Jego opowiadania o Puszczy są takie, jakimi je widział sam, lub jakie mu powtarzali brodaci autochtoni puszczańscy — prawdziwe, szczere, bez patosu i literackiej „bujdy“. Powoływanie się na liczne źródła historyczne, w pierwszym rzędzie na Brinckena, tworzą z tej beletrystycznej książki — dokument.

Reasumując powyższe, czy może ona ujść uwadze myśliwego, chyba nie. Niech ją przeczyta historyk, młody lub starszy przyrodnik, myśliwy, leśnik — czy laik, ale niech ją przeczyta każdy. Przeczytanie jej staje się prawie obowiązkiem każdego Polaka.

MIECZYSŁAW MNISZEK TCHORZNICKI

LEON RZYSZCZEWSKI

L I S

Najpospolitszy nasz drapieżnik, lis, znany jest wszystkim z rycin, obrazów, zdjęć fotograficznych, zaś tym, którzy choć raz widzieli go na oczy, z widoku. Krąży o nim mnóstwo opowiadań, bajek i gadek. Z kształtu lis przypomina małego psa. Wyróżniają go: wydłużona, szpiczasta morda i długi puszysty ogon, t.zw. kita. Wobec tego, że zalicza się go do zwierząt futerkowych, miarą jego wartości i ceny jest właśnie jego własna skórka. Należy on do tych zwierząt, które pod względem koloru uwłosienia wykazują największą rozbieżność indywidualną. Można powiedzieć, że nie ma dwóch lisów sobie równych, nawet między młodymi jednego rzutu. Normalny kolor lisa jest żółtorudy, przy czym spód bywa jaśniejszy, zaś na łbie i kończynach przeważa kolor ciemny. O wartości poszczególnej skórki decyduje przewaga melanizmu, t. czarnego pigmentu, czyli zabarwienia długich włosów na tle ogólnego rudego umaszczenia. Najbardziej poszukiwane są skórki, w których czarny kolor układa się w kształcie czarnej pręgi wzdłuż grzbietu i poprzecznej na krzyżu. Rzadkie takie osobniki kuśnierze nazywają lisami krzyżowymi. Bogato uwłosiona kita kończy się zwykle białym czubkiem.

Lis o tyle jest mieszkańcem lasów, że zwykle tam zakłada mieszkanie, wykopując sobie jamę podziemną o przynajmniej dwóch wylotach i środkowym kotle do spania. Bywa zresztą, że lis nie chcąc sam trudzić się wyszukuje i zwiedza pod nieobecność gospodarza jamę borsuka i, upodobawszy ją sobie, zanieczyszcza ją cuchnącymi odchodami. Borsuk, jako zwierz nader porządny, o usposobieniu spokojnym i biurokratycznym, stwierdziwszy lisią robotę, przeważnie woli ustąpić i założyć sobie nowe pomieszkanie, aniżeli sprzątać po lisie i wojować o swoje prawo.

Lis jako zwierz mięsożerny i drapieżny używa pokarmów wyłącznie zwierzęcych. Szuka zaś je polując

głównie w polu i nad brzegami jezior, stawów, rzek i strumyków. Najlepsze wyniki daje mu wiosna i wczesne lato, póki jeszcze stoją niezebrane zboża ozime. Posługując się bystrym zmysłem powonienia, lis znajduje gniazda ptaków, gnieżdżących się na ziemi. Jako krewniak psa, czyni to podobnie jak pies myśliwski, sunąc pod wiatr i węsząc. Dla badacza przyrody prawdziwa to satysfakcja obserwowanie polującego lisa. Skoro tylko węch zwiastuje mu bliskość samicy na jajach, lis skrada się ostrożnie, przystając z podniesioną przednią łapką i wyciągniętą kitą, aż dojrzy zdobycz na oko. Chodzi teraz o podejście na miarę skoku. Potem należy skoczyć i szybko zadusić matkę. Wtenczas dopiero będzie można spokojnie sprzątnąć zawartość gniazda, t.j. albo jaja, albo też pisklęta. Jeżeli zatem lisowi udało się bez hałasu dopaść i zagryźć matkę, to w jego pojęciu polowanie udało się i można dalej popróbować szczęścia. Gorzej kiedy skok był nieudany, gdyż wtedy samica uciekając alarmuje swym wrzaskiem całą okolicę, którą w tym wypadku lepiej natychmiast opuścić i przenieść działalność w inne strony. Podobnie odbywa się polowanie lisa na młode zajączki, króliki i drobne ssaki. Trudniejsze czasy nastają dla lisa, gdy po żniwach pola zostają ogołocone. Z konieczności wtenczas lis ratuje się łapaniem myszy, chomików, kretów i podobnego drobiazgu. Na jego szczęście zaczynają wtenczas polować ludzie. Śladami myśliwych zawsze uda się lisowi złapać jakiegoś postrzałka. W ostateczności ratują go nocne wyprawy do wiejskich kurników.

Czas godowy lisów, w gwarze myśliwskiej nazywany cieczką, wypada w miesiącu lutym. Czas nośności suki wynosi około 2-ch miesięcy. Szczeniaki 4—6 rodzą się ślepe, jak psy. Samica karmi je około 2-ch tygodni. Później tak ona jak i samce przynoszą młodym zwierzynę, którą starają się przynieść jeszcze żywą.

Dużo się zawsze mówi i pisze o mądrości i chytrości lisa-mykity. Pełne są tego zwłaszcza opowieści i bajki. Złożyło się to wszystko na to, żeby otoczyć lisa nimbem sławy najchytrzejszego ze zwierząt. Zastanowiwszy się jednak głębiej nad tą sztuczną poniekąd i niedostatecznie uzasadnioną renomą lisa, stwierdzamy w niej dużo przesady. Albowiem właśnie w niebezpiecznych sytuacjach, w których chytrość mogłaby go wyratować, lis okazuje jej mniej od innej zwierzyny. W pędzeniach leśnych dzik, rogacz, nawet zając wymykają się bokiem z miotu lub też, forsując linię huczków, uchodzą w tył. Lis natomiast bez sprzeciwu daje się pędzić ku stanowiskom myśliwych i wychodzi na nich jak na sznurku, o ile tylko wiatr nie wieje ku niemu.

Jeżeli zaś czasem lis ujdzie cało, nie zawdzięcza tego bynajmniej własnej swej przebiegłości, lecz raczej błędom i niedopatrzeniu młodych i niedoświadczonych myśliwych. Ktokolwiek zaś widział lisa otoczonego w kotle podczas zimowych polowań polnych na zające przyzna, że w takich opałach „chytry" lis zachowuje się dziwnie głupio i bezradnie. Szkoda wspominać rozmaite bajędy, jakie się spotyka w słowie i w piśmie jako dowody niezwykłej inteligencji i chytrości lisa. Wszystko to, jak np. opowiadanie o lisie, który pozbywa się swoich pcheł, biorąc wiecheć słomy do pyska i zanurzając się potem w wodzie, jak łowi raki wpuszczając własną kitę w przerębel i t.p. — są to wymysły. Można je śmiało zaliczyć w poczet fraszek, jakie nowicjuszom kunsztu łowieckiego opowiadają starzy bywalcy.

Człowiek w swoim egocentrycznym nastawieniu nazywa lisa szkodnikiem. Myśliwy i właściciel łowiska nie może mu wybaczyć szkód wyrządzanych w zwierzostanie, gospodarz-rolnik przeklina go jako złodzieja drobiu. Nikt nie wspomina jego zasług jako tąpiciela myszy polnych. To też dawniej tępiono lisy bezwzględnie i żadna ustawa nie przyznawała im czasu ochronnego. Myśliwy strzelał do niego przy każdym spotkaniu, prześladował go wiosną za pomocą jamników, rozkopywał jamy i niszczył młody pomiot, stawiał paście, łapki i trutki. Bezwzględnie wrogi ten stosunek zmienił się do pewnego stopnia w miarę tego, jak nie wiele warte dawniej skórki lisie, szybko zaczęły wzrastać w cenie. Wtedy to człowiek, jak zawsze samolubny, zaczął kalkulować i skoro się przekonał, że cena skórki zimowej lisa przewyższa ewentualne straty z ubytku zwierzyny, ograniczył polowanie na lisy do pory zimowej.

Niezależnie od wyrachowanego nastawienia ludzkiego, lis na równi z innymi drapieżnikami, spełnia zadanie regulatora, używając dla swego wyżywienia spośród zwierząt roślinożerczych w pierwszym rzędzie te, które najłatwiej mu łapać, t.j. stare, o przytępionych zmysłach, chore, niedorozwinięte i okaleczałe. W ten sposób drapieżniki przestrzegają doboru, wykluczając od rozpłodu osobniki w jakimkolwiek sensie upośledzone.

W niektórych okolicach o wysokiej kulturze, t.j. takich, gdzie ludzie zdołali podciągnąć wszystko na swój osobisty dorobek i pożytek, udało im się wytępić lisy zupełnie. Otóż rozmnożony przez to stan zajęcy opanowały niebawem epidemiczne schorzenia i doprowadziły go do prawie całkowitego zaniku.

Regionalne drenowanie gruntów wraz z regulacją odpływów w celach melioracji rolnej z biegiem czasu tak obniżyły nawierzchny i zaskórny poziom wód, że stopniowo wyłoniły się ujemne dla ogółu zmiany klimatyczne. Kupiecko wykalkulowana zamiana pierwotnego mieszanego zadrzewienia na jednolite, ręką sadzone lasy szpilkowe, odebrały korzystne warunki bytu ptakom, żywiącym się poczwarkami szkodników leśnych i w następstwie sprowadziła niebywałe klęski na ogromnych obszarach takiego lasu, wskutek rozmnożenia gąsienic. I tak każde samowolne naruszenie równowagi w przyrodzie nosi w sobie zarodek przyszłych strat.

Najnowsze badania pouczają nas, że trzeba będzie długich lat leczenia krajobrazowego, związanego z obniżeniem dochodowości, dla naprawienia szkód spowodowanych wadliwym forsowaniem kultury i chciwością zdobywania większych i prędszych zysków. Podobneż skutki może dać wytępienie lisów.

L. RZYSZCZEWSKI

Druk. Zakł. Graf. „Czytelnik", Targowa 82, B-40210

OGŁOSZENIE

W dniu 25 października r. b. o godz. 10-ej odbędzie się w nowej siedzibie P. Z. Ł. przy ul. Nowy-Świat 35

posiedzenie Rady Naczelnej Związku Łowieckiego

oraz nazajutrz w dniu 26 października o godz. 9-ej w tymże pomieszczeniu

Nadzwyczajne Walne Zgromadzenie Członków P. Z. Ł.

Porządek dzienny obu obrad przesłany został wszystkim Wojewódzkim Radom Łowieckim.

WARUNKI PRENUMERATY „ŁOWCA POLSKIEGO"

Członkowie Polskiego Związku Łowieckiego, którzy opłacili składkę członkowską za r. 1947 na ręce odnośnych Rad Wojewódzkich i Powiatowych w kwocie 400 zł., a leśnicy wszelkich stopni, funkcjonariusze Urzędów Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej oraz słuchacze Wyższych Uczelni — w kwocie 200 zł. — otrzymują „Łowiec Polski" bez żadnej dopłaty.

Wobec wyczerpania nakładu Nr. 1, 2, 3 i 4 członkowie P. Z. Ł., którzy opłatę uiścili po dniu 15 sierpnia otrzymywać będą pismo dopiero od Nr. 5-go, którego nakład zwiększono do 25 tys. egzemplarzy.

Dostawa pisma członkom Związku dokonywana jest za pośrednictwem Powiatowych względnie Wojewódzkich Rad Łowieckich, które, otrzymując z Administracji „Łowca Polskiego" ilości egzemplarzy stosownie do zgłoszonych spisów członków, przesyłają je pocztą indywidualnym adresatom. Wszelkie zmiany adresów, względnie reklamacje, powinny być przeto kierowane do właściwych Rad Powiatowych, względnie Wojewódzkich.

Inne osoby, pragnące otrzymywać nasze pismo, winny tytułem prenumeraty wpłacać na konto „Łowca Polskiego" w P.K.O. Nr. I 1077 kwoty w stosunku 35 zł. za zeszyty. Ponieważ N-ry 1—4 są już wyczerpane za 2 pozostałe do końca roku zeszyty wpłacać należy 70 zł.

CENY OGŁOSZEŃ

Za ogłoszenie zajmujące całą stronę na okładce lub za tekstem pobiera się 10.000 zł., za 3/4 str. — 8.000 zł., za pół strony — 6.000 zł., za jedną czwartą strony — 4.000 zł., za jedną ósmą — 2.000 zł.

Za ogłoszenia w tekście — o 50% drożej.

Za ogłoszenia drobne zwykłym drukiem — po 10 zł. za wyraz; grubym drukiem — po 20 zł. za jeden wyraz.

Organizacje Polskiego Związku Łowieckiego, Dyrekcje Lasów Państwowych oraz Zarządy Państwowych Nieruchomości Ziemskich korzystają ze zniżki 50%.

Wydawca „Polski Związek Łowiecki", Żulińskiego 6.

Redaktor: J. Gieysztor, Miedziana 4a.